

To tylko
przyjaźń,
Panie
Sąsiedzie



Tylko u nas: Mała uliczka w Głogowie. 232 metrów długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Co sprawiło, że większość z nich żyje jak wielka rodzina? W czym tkwi fenomen ulicy 10-go Maja w Głogowie



GAZETA LUBUSKA

Piątek,
10.10.2025

www.gazetalubuska.pl

Nr 236 (22.536)
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

„Mówili mi, że do niczego się nie nadaje”

Historia Nikoli spod Żar to scenariusz na film. Chora na rzadką genetyczną chorobę od lat słyszała, że z niczym sobie nie poradzi i nic w życiu nie osiągnie. Mimo że ciężko jej się poruszać, założyła kwiaciarnię i idzie jej pierwszorzędnie!

str. 10-11



FOT. ALEKSANDRA ŁUCZYŃSKA

Centrum wygląda jak miasteczko westernowe?
Trwa dyskusja **str. 4**

W małej wsi myśliwi planują budowę ogromnej strzelnicy **str. 8-9**

Nie jęcz, tylko działaj, czyli bicyklem dookoła Polski **str. 12-13**

Z lasów każdego roku wynosimy 100 tysięcy ton grzybów **str. 16-17**

Nr ISSN 0137-9518

Nr indeksu 350-222



TYDZIEŃ Z GAZETĄ LUBUSKĄ

JUTRO
● przy **SOBOCIE**
tłumaczy, radzi, bawi...**PONIEDZIAŁEK**
● **DODATEK SPORTOWY**
Wyniki, tabele i analizy**WTOREK**
● **PULS BIZNESU**
Przepisy prawne, opinie**ŚRODA**
● **MAGAZYN ZDROWIE**
Jak zadbać o siebie i bliskich**CZWARTEK**
● **POD PARAGRAFEM**
Historie kryminalne**PIĄTEK**
● **PULS POLSKI**
Reportaże i publicystyka**ZAMÓW PRENUMERATĘ:** tel. 68 381 70 52, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.gazetalubuska.pl

Janusz Michalczyk

KTO SIĘ BOI
TILLY NORWOOD?

Zbliża się moment przesilenia, będziemy musieli przejść przez „wieki ciemne”, bo przestajemy dostrzegać, co jest prawdą. Wbrew pozorom nie są to słowa jakiegoś jasnowidza zaprawionego w straszaniu publiczności, lecz opinia trzeźwego racjonalisty, zajmującego się fizyką kwantową prof. Jana Chwedeńczuka. Co nim tak wstrząsnęło? W audycji filozofa Tomasza Stawiszyńskiego (You Tube) profesor mówił o kilkunastuminutowym filmiku, którego bohaterką jest atrakcyjna aktorka... nieistniejąca.

Holenderska producentka i komiczka Eline Van der Velden stworzyła postać Tilly Norwood, która jest określana jako „pierwsza aktorka AI”, czyli wygenerowana przez sztuczną inteligencję. Na filmiku do złudzenia przypomina prawdziwą osobę i byłaby to tylko ciekawostka, gdyby nie zapewnienia Eline, że Tilly jest w stanie zagrać w reklamie lub pełnometrażowym filmie i nie będzie gorsza od aktorek. Holenderka zaproponowała już współpracę agentom ze świata filmu i telewizji, czym wywołała panikę w Hollywood.

U nas też mamy pierwsze takie próby. Realizatorzy serialu „M jak miłość” dzięki AI wygenerowali głos Witolda Pyrkosza i pokazali odmłodzonych Mostowiaków, co spotkało się z mieszanymi reakcjami widzów. Już rok temu wykreowana przez AI „dziennikarka” OFF Radia Kraków przeprowadziła wywiad „na żywo” z nieżyjącą od 2012 roku noblistką Wisławą Szymborską.

Oczywiście, refleksje Chwedeńczuka dotyczą poważniejszych zagadnień. Twierdzi on, że jeśli zaczniemy na masową skalę oglądać w internecie i telewizji nieprawdziwych ludzi, albo i prawdziwych, lecz w nieprawdziwych sytuacjach, nie mając przy tym żadnego sposobu weryfikacji, to nasz świat wywróci się do góry nogami. To, co bawi jako forma rozrywki, może przerażać zastosowane do manipulowania nastrojami i poglądami. Do czego dojdziemy, jeżeli utraci sens pojęcie prawdy, fundament naszej cywilizacji wymyślony przez starożytnych Greków?

Cóż, nie sądzę, żeby w sukurs przyszła nam inteligencja, rzeczywista lub sztuczna. Spodziewam się raczej triumfalnego powrotu i rozwinięcia idei przekonujących, że świat jest tylko ułudą lub snem wariata. A kiedy rozum okaże się bezradny, może schronieniem dla prawdy okazać się nasze uczucia?

”

Dlatego jeśli w Rosji dojdzie do mobilizacji, będzie to wyzwanie dla Europy. To rozpocznie wielką wojnę

Wołodymyr Zelenski, prezydent Ukrainy

Pomidor z Zielonej Góry
prosto do księgi GuinnessaEliza Gniewek-Juszczak
egniewek@gazetalubuska.pl

Zbigniew Oleksiejuk już kilka lat temu ustanowił rekord Polski na najwyższy krzak pomidora. A teraz jedna z tegorocznych sadzonek już jest wyższa o pół metra. Ciągłe owocuje, jeszcze kwitnie i wciąż rośnie!

- Nie do wiary - mówiliśmy cztery lata temu. A teraz zanie mówiliśmy. Byliśmy u pana Zbigniewa Oleksiejuka w październiku 2021 roku. Wówczas jeden z pomidorów, które posiał, osiągnął wysokość 432 centymetrów i 8 października został zapisany w Księdze Rekordów. Zdjęcie zrobione przez naszego fotoreportera Mariusza Kapałę, pan Zbigniew oprawił i ma pamiątkę, równie ważną, jak potwierdzenie z biura rekordów.

W znajome miejsce wróciliśmy 8 października 2025 r. Bo tym razem łodyga pomidora ma 485 centymetrów i jeszcze rośnie. To pomidor koktajlowy poziomka. Dojrzewają kolejne owoce, a roślina wciąż kwitnie. - Wszyscy w rodzinie jedzą, to są ekologiczne pomidory, nie mają wody, są mięsiste - zachwala pan Zbigniew.

Trochę potrzebują pomocy, żeby dorosnąć. - O pomidorki trzeba dbać, przede wszystkim, trzeba obrywać te wszystkie boczne pędy, wietrzyć namiot i cały czas dokarmiać rośliny -



FOT. ELIZA GNIEWEK-JUSZCZAK

Cztery lata temu Zbigniew Oleksiejuk z Zielonej Góry z najwyższym pomidorem w Polsce trafił do Księgi Guinnessa. A zdjęcie zrobione z tej okazji przez naszego fotoreportera Mariusza Kapałę trafiło do ramki na pamiątkę

radzi pan Zbigniew. Czy najlepiej? - Obornik bydlęcy daje się do wody. Musi tak dwa tygodnie przefermentować i po tym czasie rozcieńcza się go z wodą i podlewa pomidory. To naturalny nawóz. Jak się go stosuje, to pięknie rosną - wyjaśnia nasz Czytelnik i dodaje, że można też dać troszeczkę azofoski, czy florovitu. - To taki stary nawóz, naturalny jest na rynku chyba z 50 lat. Nic więcej nie trzeba, niech rosną - opowiada.

Pomidory i ogórki rozwijają się w namiocie pana Zbi-

gniewa we wiaderkach, które nie mają dna. To ułatwia podlewanie. Woda dociera tylko do korzeni, a nie na boki i nie stoi, bo nadmiar wycieka dołem. - Jest wilgoć i pomidor rośnie - dodaje nasz rozmówca.

Potrzebne jest też ciepło, ale nie za dużo. Pan Zbigniew sam budował namiot na warzywa. Użył folii, która ma nie przepuszczać promieni UV. - Jak jest 50 stopni na dworze, nie ma szans. Otwiera się drzwi, ziemię się zrasza, a i tak pomidory nie dają rady. Zawia-

ają się trzy - cztery grona, a resztę słonko spali - tłumaczy.

W zeszłym roku ogórki rosły pod dach namiotu. Było sto kilogramów z 18 wiader. W tym roku już nie. Pan Zbigniew stwierdza, że na grzyba na ogórkach nie ma środków. - Obojętnie, co się stosuje, nie działa. Jak atakuje grzyb, nie ma szans - mówi

- A mleko niepasteryzowane, drożdże? Nie działają - dopytujemy. - Próbowałem, nic. Nawet drożdże się rozrabiło z cukrem, żeby fermentacja się zaczęła. Nie pomogło. Pokrzywę też stosowałem, na nic - odpowiada.

Pomidory i ogórki w namiocie to hobby pana Zbigniewa. Zawodowo pracował w budowlance. Od paru lat ma więcej możliwości zadbania o rośliny. - Jestem na emeryturze, żeby wolny czas ładnie leciał, zajmuję się warzywkami - wyjaśnia.

Pan Zbigniew radzi wysiewać pomidory pod koniec lutego do kuwetek: - Jak urosną 3-4 centymetry, trzeba przepikować do kubeczków. Jak urosną na 20 centymetrów, wysadza się w grunt czy pod folię. Muszą się najpierw ukorzeni. Wiosną musiałem włączać grzejniki w namiocie, bo w nocy pomidor musi mieć, co najmniej 15 stopni temperatury. Inaczej nie będzie rósł. Będzie się męczył - przestrzega.

Zamknięte ulice na trasie zawodów

Małgorzata Trzcionkowska
Szprotawa

Jutro, 11 października 2025, na ulice miasta wybiegną miłośnicy ruchu i sportu. Bieg Dziadoszan odbędzie się już po raz XXXIII, zaś po raz piąty dorośli pobiegą w Szprotawskiej 10.

Bieg Dziadoszan dla dzieci i młodzieży szkolnej będzie się rozgrywał na dystansach 200 m - 1000 m. Rozpocznie się o godz. 9.30, potrwa do 11.00. Start i meta będą na placu przed ratuszem.



FOT. MAŁGORZATA TRZCIONKOWSKA

Szprotawska 10, czyli bieg główny na dystansie 10 km (1 pętla), rozpocznie się o 11.30 Start i meta na placu przed ratuszem. Limit czasu - 90 minut.

W związku z tym nastąpi czasowe zamknięcie ulic na trasach zawodów.

- Bieg Dziadoszan - od 7.00 do 11.30 zamknięte ulice: Rynek (start/meta), Odrodzenia, Kasprowicza, Poprzeczna, 1-szej Armii, Targowa, Sądowa, Muzealna, Gen. Bema, Katedralna, Gen. Wł. Andersa.

- Bieg Główny Szprotawska 10 - od 10.30 do 14.30. Zamknięte ulice: Rynek

(start/meta), Andersa, Katedralna, Muzealna, 3-go Maja (częściowo), Wojska Polskiego, Wolności, Polna, Małomska, Zamkowa, Partyzancka, Ścieżki w Parku Słowińskim, Parkowa, Bema. Dodatkowo zamknięte będą odcinki dróg powiatowych (3-go Maja, Ciszowska, Polkowiczki, Małomska) oraz drogi gminne w obrębie Małomic dz. nr ewid. 91 obręb Śliwnik.

Organizatorzy biegu apelują, aby nie parkować samochodów na trasie biegu i w jego bezpośrednim sąsiedztwie.

nasz REGION

KRÓTKO

DREZDENKO

Tobi spisał się na medal



FOT. LUBUSKA POLICJA

Po analizie zebranych informacji i przeprowadzeniu rozpoznania, kryminalni ze Strzelec Krajeńskich nabrali przekonania, że 27-letni mieszkaniec Drezdenka może posiadać niedozwolone substancje.

- Podczas przeszukania mieszkania podejrzanego, policjantów wspierał Tobi - policyjny pies wyszkolony do tropienia środków odurzających - informuje starszy aspirant Tomasz Bartos z Komendy Powiatowej Policji. - Jak się okazało Tobiego nie zmylił nawet fakt, że narkotyki zamknięte były w słoikach, ukrytych w spiżarni obok innych przetworów.

Mundurowi zabezpieczyli nielegalne substancje oraz zatrzymali właściciela mieszkania. 27-letni mężczyzna usłyszał zarzut posiadania narkotyków. Grozi mu nawet do trzech lat pozbawienia wolności. B

ZIELONA GÓRA

Zmarł wieloletni konserwator zabytków

Zmarł dr Stanisław Kowski, były wojewódzki konserwator zabytków, wieloletni pracownik Muzeum Ziemi Lubuskiej i jej wicedyrektor w latach 1989-

1996. Miał 94 lata. - Wiedzieliśmy, że Stanisław Kowski jest chory, ale wiadomość o jego śmierci wszystkich nas zaskoczyła i bardzo zasmuciła. Jest nam ogromnie przykro - mówi dyrektor Muzeum



FOT. LWKZ

Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze Leszek Kania. Uroczystości pogrzebowe odbędą się 11 października o godz. 10.00 na cmentarzu na Jędrzychowie w Zielonej Górze.

LK

Ćwiczenia służb wywołały panikę. Ludzie wzywali pomoc

Urszula Baumann
Zielona Góra

Jakiś człowiek biegał z bronią po terenie uniwersytetu przy ul. Podgórnej i strzelał. Przyjechała policja i straż pożarna, wyły syreny. Nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że to tylko ćwiczenia.

Szkolenie służb na Uniwersytecie Zielonogórskim prowadzono wczoraj, 9 października w godzinach przedpołudniowych. Jeszcze przed zakończeniem ćwiczeń dostaliśmy sygnały, że były osoby, w tym pracownicy uczelni, którzy widząc, co się dzieje, zamknęli się w pomieszczeniach i dzwonili pod numer alarmowy.

Takich telefonów było co najmniej kilka. Jak mówi nasz informator, wszystko wyglądało bardzo realistycznie, u niektórych wywołało to bardzo duży stres, graniczący z paniką. Ludzie zamykali drzwi na klucz, nie wiedzieli co się dzieje, dzwonili po pomoc.



FOT. LUBUSKA POLICJA

Ćwiczenia służb na zielonogórskiej uczelni to nie nowość. Odbývają się cyklicznie

Spokojnie, to tylko ćwiczenia

Służby co jakiś czas ćwiczą różne scenariusze na Uniwersytecie Zielonogórskim, tak aby w razie potrzeby działać szybko i skutecznie. Jest to okazja do sprawdzenia, jak sprawnie

przebiega ewakuacja pracowników i studentów, jak wygląda rozkład pomieszczeń, czy jest wystarczająca komunikacja między służbami, gdzie są słabe punkty.

Policja przekazała informację uczelni

- Za każdym razem uczelnia jest informowana o planowanych ćwiczeniach - przekazała nam podinspektor Małgorzata Stanisławska w Komendy Miejskiej Policji w Zielonej Górze. - Nie chcemy wywoływać niepotrzebnej paniki - dodała.

Zadzwoniliśmy też do rzecznika prasowego uczelni. Potwierdziła, że na uczelni odbywają się manewry służb.

- Ćwiczenia są prowadzone także z naszej inicjatywy, żeby sprawdzić nasz system bezpieczeństwa i ewentualnie go wzmocnić - powiedziała nam Małgorzata Włodarczyk. - Wszyscy pracownicy, prowadzący zajęcia zostali uprzedzeni o działaniach służb. Gdy padły pierwsze strzały, przekazali studentom, że to tylko ćwiczenia.

Tworzy się Społeczna Rada Seniorów. Można do niej dołączyć

Leszek Kalinowski
lkalinowski@gazetalubuska.pl

**Powstaje Społeczna Rada Seniorów. To inicjatywa do-
brze znanej Eleonory Szymkowiak. Jej zdaniem,
Zielona Góra jest miastem,
w którym żyje coraz więcej
starszych osób, często wy-
magających pomocy.**

Eleonora Szymkowiak od wielu lat pomaga mieszkańcom miasta i regionu. Przez 20 lat dała się poznać jako radna, a od 26 lat prowadzi Stowarzyszenia „Ludzie dla Ludzie” Mecenat Złotego Serca. Jest organizatorką wielu akcji charytatywnych, Orszaku Trzech Króli, świątecznych zabaw pod hasłem „Szukamy wielkanocnego zajęczka”, imprez i bali dla seniorów i dzieci. W tym roku znana zielonogórzanka została Honorową Obywatelką Miasta, za co jest bardzo wdzięczna mieszkań-

com, bo to ich podpisy spowodowały, że została wyróżniona tym zaszczytnym tytułem.

I choć dziś nie jest radną, mimo przebytej ciężkiej choroby, nadal działa i pomaga w bardzo różny sposób.

- 53 lata pracowałam w kwaciarni na deptaku, gdzie też prowadziłam różne zbiórki dla potrzebujących. Znam dobrze problemy ludzi starszych, niezaradnych, żyjących w trudnych warunkach. Problemy te nie dotyczą tylko sfery materialnej, ale także natury administracyjnej czy prawnej. Czasem chodzi o dobre słowo lub psychiczne wsparcie - mówi Eleonora Szymkowiak. - Dlatego chcę nadal nieść szeroko rozumianą pomoc i wychodzę z inicjatywą utworzenia Społecznej Rady Seniorów, która uzupełni inne oficjalne formy wsparcia ludzi będących w potrzebie. Liczę na dobrą współpracę z władzami miasta. Radnych zachęcam do więk-



FOT. MARIUSZ KAPALA

Eleonora Szymkowiak - zaprasza seniorów na dyżury i do dołączenia do społecznej rady

szej aktywności na rzecz mieszkańców. Diety nie są dziś małe, a przecież składają się na nie wszyscy zielonogórzanie. Oni właśnie oczekują pomocy od radnych.

Społeczna Rada Seniorów nie ma limitów członków. Każdy kto jest w wieku senioralnym i chciałby wspierać innych, może dołączyć do społecznej rady. - Jesteśmy

otwarcy i zapraszamy do wspólnego działania na profit - zachęca Eleonora Szymkowiak. - Na początek mam zamiar przyjmować zgłoszenia od mieszkańców podczas dyżurów. Odbywać się one będą w środy w godzinach 16.00 - 18.00 w Zielonej Górze ul. Ciesielska 10 (obok ulicy Drzewnej), lokal numer 1, (telefon do Eleonory Szymkowiak - 605 931 125). Pierwszy dyżur już w tę środę, 15 października.

W związku ze zbliżającym się Świętem Zmarłych Eleonora Szymkowiak zwraca uwagę na problem z dotarciem starszych osób, a także z niepełnosprawnościami, na groby bliskich. Teren cmentarza ze wzniesieniami stwarza dużą barierę do pokonania. Poruszała ten temat jeszcze jako radna. Teraz apeluje ponownie o uruchomienie w tym dniu meksów, które mogłyby pod-

wozić starsze osoby we wskazane miejsca.

- Problemem jest także to, że przy wjeździe na cmentarz zlikwidowano kiosk, w którym można się było uzyskać informacji o opłatach na cmentarzu i nie tylko. Ponoć był nierenowny, ale przecież nie wszystko trzeba przeliczać na pieniądze - mówi społeczniczka, która przez lata wspólnie ze szkołami organizowała akcje sprzątania grobów. - Poproszę dyrekcję szkół, by kontynuowali tę piękną ideę. Zmobilizuję też członków Fundacji dla Bezdomnych Arka, by uporządkowali groby bezdomnych. Zwracam się też do mieszkańców, którzy w tych dniach będą odwiedzali mogiły bliskich: - Zobaczymy, czy obok nie ma opuszczonego grobu. Może opiekująca się nim rodzina już nie żyje? Wyrzucmy stare kwiaty, zapalmy symboliczny znicz.

Pożar hali z odpadami. Prokuratura zleciła drugą opinię biegłych

Eliza Gniewek-Juszczak
Zielona Góra

Czy zostanie w domu i zamknięcie okien było wystarczające, kiedy wybuchł pożar hali z niebezpiecznymi odpadami? Najpierw biegli mieli badać, czy konieczna była ewakuacja mieszkańców sołectwa Przylep oraz wsi Zagórze i Płoty w gminie Czerwieńsk. Teraz biegły sprawdzi, czy powinna do tegoż sołectwa Łężyca. Pierwsze wyniki już są.

Ogień pojawił się 22 lipca 2023 roku, ok. godz. 15.30 w hali magazynowej w Zielonej Górze Przylepie. Strażacy z całego województwa w trudnych warunkach walczyli z pożarem przez blisko 30 godzin. Mieszkańcy otrzymali alert na telefony. Dowiedzieli się, że palą się substancje niebezpieczne, trzeba zachować ostrożność, nie zbliżać się do miejsca pożaru. „Jeśli możesz, zostań w domu, zamknij okna” - brzmiało polecenie. Czy pozostanie w domu i zamknięcie okien wystarczyło, żeby się zabezpieczyć?

Na zlecenie Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze biegli sprawdzają, czy konieczne były wtedy ewakuacje. W styczniu tego roku śledczy zwrócili się o opinię biegłego z Akademii Pożarniczej w Warszawie, żeby dowiedzieć się, czy trzeba było ewakuować mieszkańców sołectwa Przylep, ewentualnie też pobliskich Płotów i Zagórza w gm. Czerwieńsk. Dokument jest gotowy. Z opinii wynika, że nie było konieczności ewakuacji tego terenu, ale biegły podkreślił, że kwestią otwartą zostaje pobliska Łężyca, w kierunku której zmierziała chmura dymu. Dlatego prokuratura jeszcze raz zwróciła się do Akademii Pożarniczej, aby

zbadać, czy konieczna była ewakuacja sołectwa Łężyca, w tym Osiedla Czarkowo.

- W sprawie dotyczącej pożaru w Przylepie prokurator powołał biegłego, który ma określić, czy było konieczne przeprowadzenie ewakuacji mieszkańców, czy istniało takie zagrożenie, które wymagało w danych okolicznościach przeprowadzenia tej ewakuacji - mówi prok. Ewa Antonowicz, rzecznik prasowa Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze. - Na chwilę obecną nie możemy wskazywać, w którym kierunku postępowanie zmierza, dlatego że wszystkie czynności są cały czas prowadzone. Oczekujemy na opinię biegłych. Postępowanie jest w toku. Nie mówimy jeszcze o żadnej decyzji kończącej postępowanie. Ciężko powiedzieć czy będzie potrzeba powołania jeszcze kolejnych biegłych. Jest to postępowanie bardzo złożone. Dotyczy samego pożaru, a przede wszystkim jego konsekwencji. Jest bardzo skrupulatnie prowadzone przez prokuratora tak, aby wyjaśnić wszystkie okoliczności i wątpliwości - podkreśla prokurator.

W lutym ubiegłego roku prokuratura okręgowa informowała o ustaleniach biegłych z zakresu ochrony środowiska i gospodarki odpadami niebezpiecznymi. Ekspert stwierdził wtedy, że doszło do zanieczyszczenia wody, powietrza i ziemi, a w wyniku eksplozji doszło do zanieczyszczenia powietrza, w wyniku czego do atmosfery dostało się bardzo dużo metali ciężkich, a także substancji rakotwórczych oraz niebezpiecznych. I te substancje należy liczyć w tonach. Pisaliśmy wówczas, że w ocenie biegłego narażanie na inhalację takich substancji może powodować kumulację ich i doprowadzić do chorób nowotworowych.

Centrum wygląda jak miasteczko westernowe? Trwa dyskusja o wyglądzie Starego Rynku

Jarosław Miłkowski
Gorzów

- Gdybyśmy się jutro rano obudzili, a ta koncepcja byłaby już zrealizowana, to nie wiem, czy aż tak bardzo by się gorzowianom nie podobała - mówi Gustaw Nawrocki, dyrektor Miejskiego Ośrodka Sztuki. Rozmawiamy z nim koncepcji zmian na Starym Rynku.

- Od poniedziałku trwa dyskusja na temat ewentualnych zmian na Starym Rynku. A zatem: zostawiamy to, co jest czy zmieniamy?

- Ja nie mam specjalnego sentymentu do tej zabudowy, bo to, co tu widzimy, to są atryapy budynków. Pamiętam, gdy to było robione w latach 90. Miasto liczyło się wówczas z opinią artystów plastyków, architektów, ale ktoś tę koncepcję przeformułował. I tak to zostało. To jednak jest tylko dekoracja. Coś, co udaje to, czym nie jest. Choćby ten krenelaż, czyli blanki w narożnej kamienicy. To udaje zabudowę, raczej nie neogotycką, a jeszcze wcześniejszą. To wygląda kuriozalnie z tymi udającymi okna gotyckie wybrzuszeniami. Ta nowa koncepcja Starego Rynku powinna być punktem wyjścia. Zakładam, że to jest wstępny projekt. Byłby to powrót do tego, co niczego nie udaje, ale jednocześnie z rozbudową elewacji.

- A co w tej dzisiejszej elewacji warte jest pozostawienia?

- Szkoda byłoby tego sgraffito, które zrobił Bolek Kowalski [gorzowski artysta plastyk, 1941-2001 - red.], a które przedstawia panoramę miasta. Sgraffito to technika, która polega na nakładaniu tynku na kolorowy rysunek, a później wycinaniu tynku z tego tynku. Tą samą techniką zrobione zostały także motywy kwietne w części nad Śnieżką.

- Tuż po zaprezentowaniu możliwych zmian usłyszałem od jednego z mieszkańców, że Gorzów jest niekonsekwentny. Bo z jednej strony u zbiegu Sikorskiego, Hejmanowskiej i Teatralnej odnawiany jest mural Kowalskiego i Andrzeja Gordona, a z drugiej strony miasto chce to sgraffito z panoramą Gorzowa zlikwidować.



FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

Gustaw Nawrocki nie ma specjalnego sentymentu do obecnej zabudowy

- To sgraffito zawsze można gdzieś przenieść albo zachować w tym miejscu, gdzie ono jest. To nawet by w tej nowej koncepcji nie przeszkadzało. Ono pasuje do tego miejsca. Jeśli ta zaproponowana właśnie koncepcja zostałaby wprowadzona z umiarem, z wyczuciem koloru, to ona może się sprawdzić.

- Dziś ludzie hejtują zaproponowane zmiany, ale pamiętam, że gdy w latach 90. zmienił się wygląd centrum miasta, to gorzowianie też to krytykowali. Mówili, że to, co tu powstało, jest kiczem.

- Bo to, co tu powstało, jest kiczowate. Te atyki, jak z bajki o Rumcajsie, są sztuczne. Centrum wygląda jak miasteczko westernowe na planie filmowym. Jakby te elewacje budynków były podparte od tyłu deskami. Mam więc nadzieję, że to, co zostało zaproponowane, może zostanie zrealizowane, ale po konsultacjach. Zwłaszcza, jeśli chodzi o kolorystykę.

- Dlaczego właściwie należałoby zmienić wygląd centrum miasta?

- To, co tutaj mamy, jest - mówiąc delikatnie - mało atrakcyjne wizualnie. A to, co może powstać, może być atrakcyjne. Jeśli jeszcze odnowiłoby się elewację Kokosa, to centrum mogłoby stanowić całość, łącznie z katedrą. To przejście od koloru ceglatego do jaśniejszej barwy plebanii, mogłoby być interesujące. Nie jestem do końca przekonany do tego nowego projektu, ale

trochę bym go bronił i nie wiedział na nim ostatnich psów.

- Gorzowanie jednak psy wieszają. Miasto powinno wsłuchiwać się w tę ostrą krytykę koncepcji czy jednak samo zrobić krok do przodu?

- Konsultacje społeczne powinno się prowadzić. One były przecież przeprowadzane w Gorzowie w wielu obszarach życia.

- Ludziom podoba się jednak zwykle to, co znają, a gdy pojawia się coś nowego, to często tego nie akceptują. Przy konsultacjach społecznych raczej pozostaną przy tym, co jest.

- Trzeba pozwolić zrobić krok do przodu. Gdyby założyć sytuację hipotetyczną, że budujemy się jutro rano, a ta koncepcja jest już zrealizowana, łącznie z tym przeszklonym pasem dla gastronomii, to nie wiem, czy aż tak bardzo by się to gorzowianom nie podobało.

- Takie zmiany, jak ta zaproponowana w Gorzowie, to częste przypadki w Europie? Są miasta, które decydują się na to samo?

- Kilka podobnych rzeczy widziałem w Niemczech. Tam konsekwentnie nie tyle rewitalizuje się, co zmienia

Konsultacje społeczne powinno się prowadzić. One były przecież przeprowadzane w Gorzowie w wielu obszarach życia.

elewacje budynków postawionych kilkadziesiąt lat temu. Miasto wymaga zmian. Nie powinniśmy sztywno trzymać się tego, co kiedyś zostało zrobione. Tym bardziej, że to są atryapy, a nie rzeczywisty pomysł na to miejsce.

- Czyli spora część gorzowian niesłusznie skrytykowała tę koncepcję?

- Ludzie piszą, że to, co zostało zaproponowane to „ohyda”, „tandeta”, że „architekt powinien zmienić zawód”, ale sensowych argumentów nie ma. Piszą najwyżej, iż „po co zmieniać coś, co już jest, co się sprawdziło”. A czy ten dzisiejszy wygląd się sprawdził, to ja nie wiem. Ja bym chciał zobaczyć kilka przykładów tych płytek. Żebyśmy mogli poznać, jak te elewacje wyglądałyby w rzeczywistości. Ciekawi mnie też, jak rozwiązana by została elewacja polegająca na łączeniu 25-centymetrowych kostek betonowych w większe 3-metrowe kostki.

- Bo jeszcze skończy się jak z halą sportową przy Warszawskiej? Na wizualizacji wyglądała ładnie, a w rzeczywistości wygląda koszmarnie.

- Właśnie. To jest smutne, że fajne koncepcje tracą rozpęd i przy ich realizacji zaczyna być dużo kompromisów, bywa że także z oszczędności. Sztuka nie znosi skąpstwa. Jeśli więc już coś się robi, to niech się robi na maksa - z dobrych materiałów.

REKLAMA

0011400513

**Zarząd „Zielonogórskich Zakładów Usług Miejskich”
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
Miejski Zakład Pogrzebowy**

INFORMUJE, ŻE

z dniem 16 października 2025 roku przystępuje do likwidacji nieopłaconych na kolejne 20 lat grobów z lat 1954-2005 na terenie cmentarzy komunalnych w Zielonej Górze.

Wszelkie informacje na temat opłat można uzyskać w Miejskim Zakładzie Pogrzebowym przy ulicy Masarskiej 13 oraz w biurze administracji cmentarzy komunalnych (nowy cmentarz) przy ulicy Wrocławskiej w dni powszednie w godzinach 8.00 – 15.00 lub pod numerami telefonów: 68 320 22 35 lub 68 329 20 60. Jednocześnie przypominamy, że zgodnie z ustawą z dnia 31 stycznia 1959 roku o cmentarzach i chowaniu zmarłych (Dz.U. nr 11 poz. 62 z 1959 roku, ze zm.) w celu zachowania istniejącego grobu należy wnieść opłatę na następne 20 lat.

Zarząd „Zielonogórskich Zakładów Usług Miejskich”
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

MATERIAŁ INFORMACYJNY WODY POLSKIE

Chroń się przed powodzią - skorzystaj z wykupów nieruchomości!

Powodzie stają się coraz poważniejszym zagrożeniem, szczególnie dla mieszkańców terenów położonych w sąsiedztwie rzek. W odpowiedzi na rosnące ryzyko, Skarb Państwa oferuje możliwość wykupu nieruchomości o wysokim zagrożeniu powodziowym (w zasięgu wody 10-letniej). To szansa na zwiększenie bezpieczeństwa i uniknięcie przyszłych strat materialnych.

Powódzie to dziś jedno z najważniejszych zagrożeń naturalnych, z jakimi mierzy się Polska. Zmiany klimatyczne, coraz intensywniejsze opady oraz urbanizacja terenów położonych w sąsiedztwie rzek sprawiają, że ryzyko wystąpienia katastrofy rośnie z roku na rok. Dlatego świadoma ocena zagrożenia i ryzyka powodziowego jest kluczowa dla skutecznej ochrony ludzi, mienia i środowiska. Tragiczne skutki przyniosła powódź z września 2024 r., która dotknęła południowo-zachodnią część kraju. W ciągu 22 dni żywioł zniszczył tysiące domów, dróg i obiektów publicznych, a straty materialne przekroczyły 13 mld zł. Poszkodowanych zostało prawie 250 tys. osób, a fala powodziowa zalała ponad 10 tys. budynków mieszkalnych oraz ponad 800 obiektów o szczególnym znaczeniu społecznym, takim jak szkoły, urzędy czy szpitale. Pod wodą znalazło się też 29 tys. hektarów upraw rolnych. Skala zniszczeń pokazała, że konieczne są nowe rozwiązania – w tym możliwość wykupu nieruchomości przez Skarb Państwa dla mieszkańców terenów szczególnie zagrożonych przez powódź.

Zasady wykupu nieruchomości na terenach zagrożonych powodzią

Wykup nieruchomości może nastąpić w dwóch przypadkach. Pierwszym z nich jest potrzeba zapewnienia swobodnego przepływu wód powodziowych. W takiej sytuacji wykup jest możliwy, jeśli położenie nieruchomości względem rzeki oraz ukształtowanie terenu wskazują, że obszar powinien być przeznaczony na cele przeciwpowodziowe. Dodatkowo, istniejąca zabudowa nie może mieć dużej wartości historycznej, artystycznej ani kulturowej, a jej usunięcie nie powinno powodować istotnych strat. Korzyści wynikające z wykupu muszą prze-



Program wykupów nieruchomości przez Wody Polskie

Wody Polskie mogą, za zgodą właściciela, wykupić nieruchomość położoną na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, gdzie prawdopodobieństwo wystąpienia powodzi jest wysokie i wynosi co najmniej 10 procent. Nieruchomość jest nabywana na rzecz Skarbu Państwa, a celem takiego działania jest zapewnienie skutecznej ochrony przeciwpowodziowej. Procedura planowania wykupów obejmuje wystąpienia Wód Polskich do gmin, na terenie których miały miejsce powodzie, z prośbą o opinię dotyczącą nieruchomości, których wykup należy rozważyć jako zasadny. Do 30 czerwca każdego roku Wody Polskie przekazują ministrowi właściwemu do spraw gospodarki wodnej zapotrzebowanie na środki finansowe na wykupy planowane w kolejnym roku. Zapotrzebowanie to uwzględnia stopień zniszczenia obiektów oraz ich wpływ na ochronę przeciwpowodziową, na przykład to, czy utrudniają przepływ wód powodziowych. Minister przekazuje zapotrzebowanie dalej - do ministra właściwego do spraw finansów, celem zabezpieczenia środków finansowych na cel przyszłych wykupów. Na realizację wykupów nieruchomości przeznaczono 800 mln złotych do 2034 r. Środki pochodzą z budżetu państwa. Głównym celem programu jest zapewnienie ochrony ludności i mienia przed powodzią poprzez umożliwienie mieszkańcom budynków zniszczonych lub uszkodzonych w wyniku powodzi zmiany miejsca zamieszkania.

wyższać koszty finansowe i społeczne. Drugim przypadkiem jest potrzeba ochrony ludności i mienia. Wykup może nastąpić, jeśli budynek został zniszczony lub uszkodzony przez powódź, a jego odbudowa lub remont są niecelowe ze względu na ryzyko ponownego zniszczenia. Decyzja o wykupie uwzględnia położenie budynku, jego stan

techniczny, otoczenie oraz liczbę mieszkańców, co może wskazywać na zasadność umożliwienia zmiany miejsca zamieszkania. W przypadku zniszczenia budynków przez powódź wykupowi mogą podlegać nieruchomości gruntowe, a także nieruchomości gruntowe i budynkowe zabudowane na cele mieszkalne oraz inne

niż mieszkalne. Do takich nieruchomości należą m.in. działki z budynkami mieszkalnymi, zgodnie z Polską Klasyfikacją Obiektów Budowlanych, z wyłączeniem budynków zamieszkania zbiorowego, a także lokale mieszkalne stanowiące odrębną własność w tych budynkach. Dodatkowo, wykup może objąć inne nieruchomości – na przykład z budyn-

kami o innym przeznaczeniu lub niezabudowane – jeśli ich pozyskanie jest konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa powodziowego, zwłaszcza gdy sąsiadują z już wykupionymi budynkami mieszkalnymi.

Jak ustalana jest cena wykupu?

Cena wykupu nieruchomości ustalana jest na podstawie wyceny rzeczoznawcy majątkowego. W przypadku ogólnym jest to wartość rynkowa nieruchomości powiększona o 20 procent. W przypadku legalnie wzniesionych zniszczonych budynków mieszkalnych uwzględnia się wartość gruntu, wartość budynków i lokali mieszkalnych według stanu z dnia poprzedzającego powódź, wartość pozostałych nieruchomości naniесień, takich jak garaże, również podlega wycenie, a całość oszacowanej kwoty również powiększa się o 20 procent.

Zakaz zabudowy na terenach wykupionych

Aby skutecznie chronić ludzi przed powodzią, na terenach wykupionych przez Wody Polskie obowiązują ograniczenia dotyczące zabudowy. Na tych obszarach nie wolno wznosić nowych budynków ani rozbudowywać czy odbudowywać istniejących. Zakazy te nie obowiązują w przypadku prac związanych z budową, utrzymaniem lub modernizacją wałów przeci-

powodziowych oraz innych obiektów służących ochronie przed powodzią. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba poprowadzenia przez taki teren drogi, linii energetycznej lub innego elementu infrastruktury, Wody Polskie mogą wydać zgodę na odstępstwo od zakazu zabudowy. Warunkiem jest brak możliwości poprowadzenia tej infrastruktury w innym miejscu oraz zapewnienie odpowiedniego poziomu ochrony przeciwpowodziowej.

Bezpieczna przyszłość zaczyna się dziś - skorzystaj z możliwości wykupu

Dobrowolny wykup nieruchomości przez Wody Polskie to nie tylko szansa na poprawę bezpieczeństwa powodziowego, ale także realna pomoc dla mieszkańców, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji po zalaniu domów przez wody powodziowe. To rozwiązanie, które pozwala uniknąć kolejnych strat, daje możliwość rozpoczęcia życia w nowym, bezpiecznym miejscu i wspiera odbudowę lokalnych społeczności. Jeśli Twoja nieruchomość znajduje się na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, warto rozważyć udział w tym programie – to krok w stronę stabilności, bezpieczeństwa i lepszej przyszłości.

Sprawdź, czy mieszkasz na terenie zalewowym

Jeśli nie masz pewności, czy Twoje miejsce zamieszkania jest bezpieczne pod względem zagrożenia powodziowego, warto skorzystać z Hydroportalu. To narzędzie dostarcza kluczowych informacji, które wspierają podejmowanie trafnych decyzji w zakresie ochrony przed powodzią – zarówno przez osoby prywatne, jak i instytucje. Hydroportal zapewnia dostęp do map zagrożenia i map ryzyka powodziowego, opracowanych na podstawie modeli hydraulicznych oraz danych statystycznych. Mapy te przedstawiają obszary narażone na zalanie w wyniku wezbrań wód rzek, sztormów czy awarii budowli hydrotechnicznych. Uwzględniają różne scenariusze powodziowe, w tym te o prawdopodobieństwie wystąpienia średnio raz na 10, 100 lub 500 lat, a także zdarzenia ekstremalne.

Wejdź na Hydroportal
https://wody.isok.gov.pl/imap_kzgw



Lipnicka o miłości



Anita Lipnicka zaśpiewa w Żaganiu

Jarosław Wnorowski
ŻAGAN

W poniedziałek (13.10) o godz. 19, w Sali Kryształowej w Pałacu Kultury wystąpi Anita Lipnicka. Z uwagi na program, to koncert idealny dla zakochanych.

Artystkę usłyszymy w jej nowym projekcie scenicznym zatytułowanym „O miłości 2”, który jest kontynuacją trasy, rozpoczętej wiosną 2023 roku, podczas której odwiedziła blisko 50 miast Polski. Jak sama twierdzi: „Nasze miłosne koncerty cieszyły się takim powodzeniem, że ja i mój zespół postanowiliśmy stworzyć drugą edycję tego

wydarzenia. Podobnie jak poprzednio, kluczem w doborze repertuaru było dla nas słowo „miłość” – wszystkie jej kolory, etapy, odsłony... a, że sama w życiu sporo się już nakochałam, nie brakuje w moim twórczym dorobku utworów o tej tematyce”. Tym razem zabrzmią piosenki polskich artystów, z przełomu lat 80 i 90. Lipnicka wystąpi ze swoim zespołem w składzie: Piotr Świętoniowski – instrumenty klawiszowe, Bartek Miarka – gitary, Kamil Pełka – kontrabas oraz Łukasz Sobolak – perkusja, a koncertowi towarzyszyć będzie barwne oświetlenie i efekty zapachowe (kadzidła o zapachu stworzonym przez wokalistkę). Wstęp płatny.

WYDARZY SIĘ

REGION

Co nas czeka już niedługo

12.10 - Inauguracja nowego roku artystycznego i koncert „Arte con brio”, Centrum Promocji Kultury, Drezdenko,
13.10 - Wernisaż wystawy prac plastycznych „Wędrówka przez historię - moje ulubione zabytki Gorzowa”, Biblioteka Herberta, Gorzów,
13.10 - Spotkanie Zielonogórskiego Klubu Poetów skierowane do amatorów, Biblioteka Norwida, Zielona Góra,
16.10 - Kuratorskie wprowadzenie oraz studium obrazu Jacka Malczewskiego „Portret malarza Mieczysława Gąseckiego”, Muzeum Lubuskie, Gorzów,
16.10 - Wernisaż wystawy „Ptaki w filatelistyce”, Biblioteka Herberta, Gorzów,
24.10 - Wernisaż wystawy „Skóra”, Gubiński Dom Kultury, Gubin,
24.10 - VIII. Gorzowska Herbertiada - Sztuka humoru, sztuka przyjaźni, Biblioteka Herberta, Gorzów,
25.10 - Koncert na rozpoczęcie 79. sezonu artystycznego Orkiestry Dętej Zastal, aula UZ, Zielona Góra.

ŚWIEBODZIN



W poniedziałek (13.10), o godz. 18, w sali widowiskowej ŚDK, ze swoim zespołem wystąpi Eleni. To pseudonim artystyczny Heleny Tzoki. Swoją drogę na estradzie rozpoczęła w 1975 r. w zespole „Prometheus”, w 1980 roku zaczęła karierę solową. W tym roku obchodzi 50-lecie swojej pracy artystycznej, a jej przeboje weszły na stałe do kanonu polskiej piosenki. Wstęp płatny. JERRY

Ferdydurke, trup w szafie oraz jaki teść, taki zięć

Jarosław Wnorowski
REGION

Lubuskie teatry oferują sprawdzone przedstawienia, ale również i solidną porcję humoru. To znakomite lekarstwo na jesienną aurę oraz idealny sposób na spędzenie wolnego czasu

W Teatrze im. J. Osterwy w Gorzowie w piątek oraz w sobotę (10-11.10) o godz. 19, obejrzymy „Ferdydurke” - Witolda Gombrowicza, w reżyserii Dariusza Lewandowskiego. Głównym bohaterem jest Józio Kowalski (w tę postać wcielił się w Gorzowie - Dominik Jakubczak), trzydziestoletni mężczyzna, który został cofnięty przez swojego profesora, do czasów szkolnych, do szóstej klasy, aby ponownie przeżyć przeszłość. Właśnie trzydzieste urodziny, są dla niego pretekstem do pierwszych, osobistych podsumowań sukcesów i porażek życiowych. Józio stwierdza, że wciąż jest chłystkiem, chociaż powinien być dojrzały. To powieść stale aktualna i ponadczasowa, dlatego warto zobaczyć jej adaptację na deskach gorzowskiego teatru. Z kolei w Lubuskim Teatrze w Zielonej Górze zobaczymy „Przedstawie ci tatę” autorstwa Giuseppe Della Misericordia, w reżyserii Roberta Czechowskiego. To nieco czarna komedia o relacjach damsko-męskich, w której pod przykrywką humoru, odbywa się iście filozoficzna roz-



W ten weekend, w Gorzowie zobaczymy „Ferdydurke” W. Gombrowicza

prawa na temat natury kłamstwa i jego konsekwencji. Ukochana córka przedstawia swojemu ojcu narzeczonego, o którym tenże ojciec wie coś, czego ona nie wie (i z czego na pewno nie byłaby zadowolona). Z kolei ojciec nie może ujawnić tej wiedzy, bo ewentualny zięć także wie o nim coś, co by doprowadziło do rodzinnego skandalu. Jak Państwo widzą, intryga zapowiada się na grubo. Tę sztukę zobaczymy w piątek i sobotę (10-11.10) o godz. 19, zaś w niedzielę (12.10) o godz. 18. Dla najmłodszych, aktorzy Teatru Lalek w Zielonej Górze przygotowali przedstawienie „Smok, który mieszka w szafie” (sobota godz. 16, niedziela godz. 12 oraz wtorek o 10 i 12). W tej bajce kilkuletni widz będzie

miał okazję zanurzyć się w wewnętrzny świat głównego bohatera - chłopca, który bał się ciemności. Razem z nim będzie walczył z potworami, kryjącymi się w szafie, poznawał magicznych przyjaciół i przeżywał podróże, które możliwe są tylko we śnie. Nie zabraknie komedii również w Teatrze Osterwy. W niedzielę (12.10 godz. 15.30 i 18.30), na scenie Osterwy będzie można zobaczyć przedstawienie zewnętrzne pt. „Prawy do lewego”. To uaktualniona wersja jednej z najlepszych komedii teatralnych „Okno na parlament”, opowiadająca o romansie pani minister z posłem opozycji, który przeradza się w serię komicznych sytuacji z detektywem oraz trupem w szafie.

WYBIERZ SIĘ

ZIELONA GÓRA

Problemy świata

Dziś o godz. 19, w Biurze Wystaw Artystycznych odbędzie się wernisaż wystawy „Just about”. Jej autorem jest rumuński artysta Dan Perjovschi. Twórca najważniejszym środkiem przekazu swojej sztuki uczynił rysunek. Umieszczane na zewnętrznych lub wewnętrznych ścianach muzeów i galerii, proste komunikaty są jego komentarzem do bieżących wydarzeń politycznych i społecznych. Często też odnoszą się do globalnych problemów naszego świata. „Perjovschi patrzy ostro i wnikliwie, pokazuje nonsensy, niedoskonałości, okrucieństwo, hipokryzję świata sztuki, mielizny globalizacji i władzę ponadnarodowych korporacji”. Dan Perjovschi prezentował swoje prace na najważniejszych światowych wystawach, m.in. Documenta w Kassel, Biennale Sztuki w Wenecji, a także w galeriach m.in. Moma w Nowym Jorku, Tate Modern w Londynie, Centre Pompidou w Paryżu. W Polsce jego prace prezentowało Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Wstęp wolny. JERRY

ZIELONA GÓRA

Prawa człowieka



Do 26.10 w Bibliotece Norwida, Zielonogórskim Stowarzyszeniu „Civitas” oraz w kinie Nowa odbędzie się „23. Watch Docs Festiwal”, który powstał i rozwija się w wyniku inicjatyw oddolnych. Partnerzy Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka - współorganizatorzy tego festiwalu objazdowego w poszczególnych miastach - wybierają filmy z repertuaru ostatniej edycji warszawskiego „MFF Watch Docs”. W Zielonej Górze będą to m.in. „Antidotum”, „Skąd dokąd”, „Drzewa milczą” czy „Palestyna, której nie było”. Wstęp na projekcje filmowe i imprezy towarzyszące (dyskusje oraz warsztaty) jest bezpłatny. JERRY

GORZÓW

Czułość i historia

W sobotę (11.10) o godz. 17 w Miejskim Ośrodku Sztuki „Mosart” zostanie otwarta wystawa Pracowni Afektywnych Praktyk Artystycznych pt. „Pedagogia czułości”. Będzie można na niej zobaczyć, jak studenckie działania i eksperymenty tworzą nowe narracje - bez rywalizacji, bez nadprodukcji, głośno i z przekonaniem. Też w sobotę, ale o godz. 15 i w Muzeum Lubuskim (Spichlerz Nadwarciański) zostanie otwarta wystawa „Wokół piękna, czasu i przestrzeni”. To podróż przez osiem dekad historii najstarszej placówki muzealnej na Ziemi Lubuskiej. Ekspozycja została poprowadzona dwutorowo: z jednej strony prezentuje osiem kolorystycznie wyodrębnionych sektorów ukazujących poszczególne dekady, a z drugiej - odświeżenie bogactwo zbiorów przechowywanych w magazynach, ukazując ich różnorodność: od archeologii i numizmatyki, przez sztukę dawną i współczesną, po etnografię, technikę i militaria. Na wernisaż wstęp wolny. JERRY

Pojedynek na skrzypce, Festiwal im. Wojciecha Kilara oraz muzyka big bandowa w filharmoniach

Jarosław Wnorowski
REGION

Dziś o godz. 19 Filharmonia Gorzowska zainauguruje XII. Festiwal Muzyczny im. Wojciecha Kilara, który potrwa do 24 października. W Zielonej Górze natomiast dojdzie do bezkrwawego pojedynku na skrzypce. Ciekawi co się stanie?

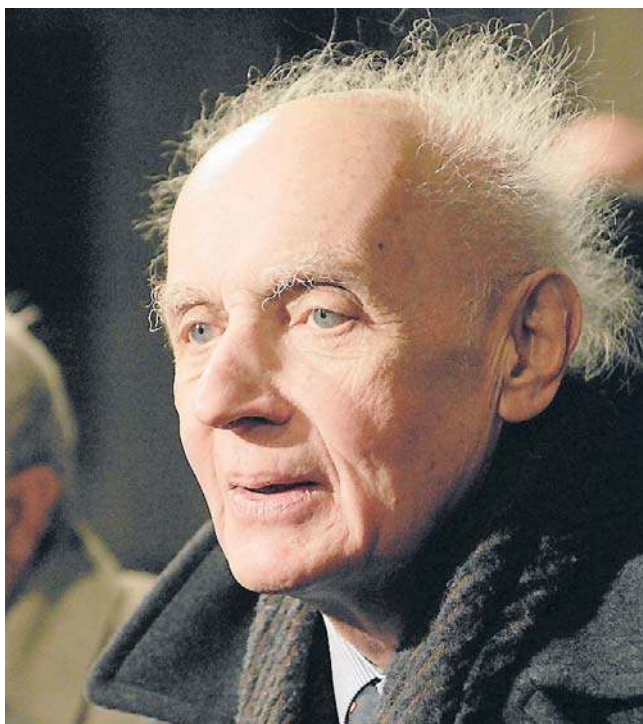
Festiwal to kontynuacja podjętej przez Filharmonię Gorzowską w 2013 roku inicjatywy artystycznej będącej pierwszym w regionie lubuskim festiwalem, który kładzie nacisk na propagowanie muzyki XX. i XXI. wieku wśród jak najszerszej rzeszy odbiorców.

Jego patron znany także z muzyki filmowej studiował w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach grę na fortepianie i kompozycję w klasie Bolesława Woytowicza. Dyplom ukończenia studiów z najwyższym odznaczeniem uzyskał w 1955 roku. Otrzymał wiele

nagród za muzykę filmową, m.in. w 1975 roku na Festiwalu Filmów Polskich w Gdańsku za muzykę do „Ziemi obiecanej” w reż. Andrzeja Wajdy, w 1980 roku Prix Louis Delluc za muzykę do filmu animowanego „Le roi et l’oiseau” w reż. Paul’a Grimault’a, w 1981 roku na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cork w Irlandii za muzykę do filmu „Z dalekiego kraju: Papież Jan Paweł II” w reż. Krzysztofa Zanussiego, w 1992 roku za muzykę do filmu „Drakula” w reż. Francis Forda Coppoli, czy w 2006 roku - Nagrodę Orła Polskiej Akademii Filmowej za muzykę do filmu „Persona non grata” w reż. Krzysztofa Zanussiego.

Sławę przyniosła mu ponadto muzyka do „Pana Tadeusza” w reż. Andrzeja Wajdy. Polonez z tego filmu jest najczęściej granym utworem na polskich „studniówkach”.

Podczas koncertu otwarcia gorzowskiego festiwalu imienia tego wielkiego kompozy-



Wojciech Kilar na stałe zapisał się do kanonu muzyki

tora, w ten piątek (10.10) usłyszymy poematy symfoniczne Claude’a Debussy’ego. Jako pierwsze zabrzmí jego „Prelu-

dium do popołudnia fauna”, które otwiera charakterystyczne solo fletu. To utwór oparty na poemacie Sté-

phane’a Mallarmégo o takim samym tytule. Utwór uważany przez krytyków i muzykologów za arcydzieło muzycznego impresjonizmu. Jako drugie dzieło wieczoru zabrzmí „Ad-umbro na fletnię Pana i orkiestrę” - Hanny Kulenty. Solo wykona Matthijs Koene (fletnia Pana). Na zakończenie zabrzmí „Morze” - Debussy’ego. To tytuł trzyczęściowego dzieła symfonicznego tego kompozytora z 1905 roku. „Morze” zostało wykonane w Stanach Zjednoczonych w 1907 roku i Wielkiej Brytanii w 1908 roku, a po drugim występie w Paryżu w 1908 roku szybko stało się jednym z najbardziej podziwianych i często wykonywanych utworów orkiestrowych francuskiego impresjonisty muzyki.

Nie zabraknie akcentów festiwalowych dla dzieci i młodzieży. W sobotę, niedzielę i poniedziałek (różne godziny) odbędzie się pokaz „Uśmiechu bez kota” Agaty Zubel - hologramowej opery dla dzieci na podstawie „Alicji po drugiej stronie lustra”

i wątków z „Alicji w Krainie Czarów” - Lewisa Carrolla.

W Filharmonii Zielonogórskiej, w ten piątek też o godz. 10, szykuje się prawdziwy muzyczny rarytas. Jarosław Nadrzycki (Vivaldi) oraz Emilia Maszońska (Piazzola) stoczą muzyczny pojedynek na skrzypce z towarzyszeniem orkiestry. Zagrają „Cztery Pory Roku” Antonia Vivaldiego oraz „Pory roku” Astora Piazzolli. Pogodzi ich prawykonanie utworu „Vitis vinifera” (łac. Winorośl właściwa) autorstwa Ignacego Zalewskiego.

W niedzielę (12.10) o godz. 12 odbędzie się koncert familijny pod intrygującą nazwą „Eine kleine Big Band Music”, podczas którego Orkiestra Dęta Filharmonii Zielonogórskiej zabierze publiczność w pełną energię, rytmu i humoru podróż po świecie swingującej muzyki big-bandowej. W środę (15.10) o godz. 19, baryton - Stanisław Daniel Kotliński wykona najpiękniejszą melodię włoską. Wstępy płatne.

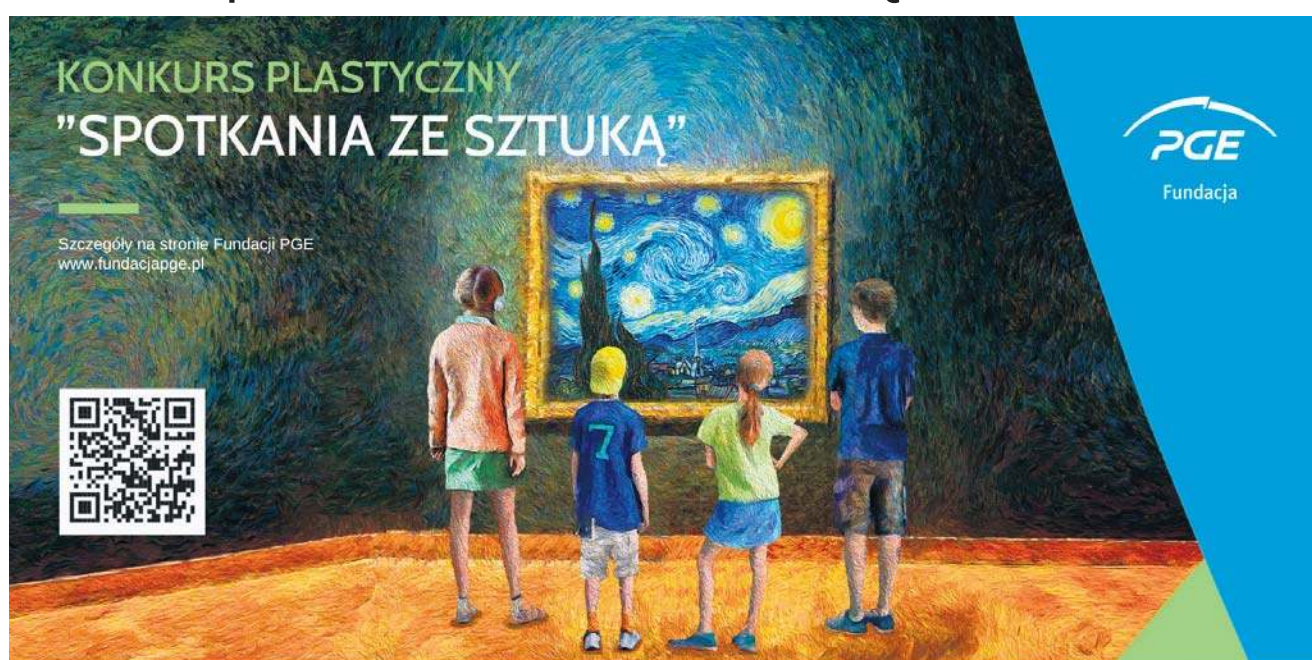
MATERIAL INFORMACYJNY PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA S.A.

Dołącz do artystycznej przygody i zgłoś się do konkursu „Spotkania ze sztuką”

Fundacja PGE po raz czwarty zaprasza uczniów szkół podstawowych z miejscowości liczących do 50 tys. mieszkańców do udziału w ogólnopolskim konkursie plastycznym „Spotkania ze sztuką”. W tegorocznej edycji motywem przewodnim jest twórczość Vincenta van Gogha - artysty, którego dzieła przepełnione są emocjami, barwami i niezwykłą ekspresją.

Zadaniem uczestników będzie stworzenie własnej interpretacji wybranego obrazu mistrza, wykorzystując dowolną technikę plastyczną. Prace należy wykonać na papierze technicznym w formacie A2 i przesłać do 14 listopada 2025 roku. W konkursie wyodrębnione zostały trzy kategorie: dla klas I-III, IV-VI, VII-VIII, a najlepsze dzieła zostaną zaprezentowane w muzeach narodowych w całej Polsce. Na laureatów czekają atrakcyjne nagrody, wycieczki muzealne oraz możliwość udziału w inspirujących warsztatach.

W tej edycji konkursu lista instytucji biorących udział w projekcie została rozsze-



patronat honorowy



patronat medialny



rzona o dwa nowe muzea: Muzeum Narodowe w Szczecinie oraz Muzeum Narodowe we Wrocławiu. Tym samym uczestnicy będą mogli odwiedzić jedno z siedmiu prestiżo-

wych muzeów: Muzeum Narodowe w Warszawie, Lublinie, Krakowie, Kielcach, Gdańsku, Szczecinie lub Wrocławiu. Dodatkowo, każdy laureat otrzyma indywidual-

ną nagrodę w postaci bonu o wartości 300 zł do wykorzystania w sklepie Empik, a opiekun laureata - bon o wartości 200 zł jako wyraz uznania za zaangażowa-

nie i wsparcie artystycznych działań uczniów.

Organizatorzy przygotowali również specjalne zadanie filmowe - relację z wycieczki muzealnej, któ-

ra zostanie opublikowana na profilu szkoły na Facebooku. Pięć najpopularniejszych filmów przejdzie do finału, a trzy najlepsze szkoły otrzymają nagrody finansowe o wartości 5 000 zł, 7 500 zł oraz 10 000 zł.

Poprzednia, trzecia edycja konkursu pokazała, jak ogromny potencjał drzemie w młodych artystach z całej Polski. Wśród 2683 nadesłanych prac znalazła się również ta z województwa lubuskiego, która zachwyciła jury i zdobyła zasłużoną nagrodę. W gronie laureatów znalazła się Szkoła Podstawowa w Lubanicach - która w ramach nagrody odwiedziła Muzeum Narodowe w Krakowie. Jej sukces pokazuje, że nawet najmniejsze szkoły mogą sięgnąć po wielkie nagrody, jeśli tylko zdecydują się wziąć udział.

Organizatorzy zachęcają wszystkie szkoły podstawowe z województwa lubuskiego - z miejscowości poniżej 50 tys. mieszkańców - do udziału w IV edycji konkursu „Spotkania ze sztuką”. To okazja do rozwijania kreatywności i wyobraźni uczniów, ale także szansa na zaprezentowanie talentu szerszej publiczności.

Sztuka jest blisko, wystarczy po nią sięgnąć. Może to właśnie Wasza szkoła znajdzie się w gronie tegorocznych zwycięzców?

MYŚLIWI KONTRA WIEŚ

W spokojnym miejscu w pobliżu Kozuchowa myśliwi planują budowę ogromnej strzelnicy.
– Nie po to uciekłam z miasta, żeby żyć w huku, bać się o dzieci i zwierzęta – mówi Anna Pacewicz, szefowa komitetu „Stop dla strzelnicy”. Od myśliwych miała usłyszeć, że konie służyły w czasie wojny i nie bały się wystrzałów.

Mateusz Pojnar, Sandra Stempniewska

Anna Pacewicz jest przewodniczącą Społecznego Komitetu Mieszkańców Radwanowa „Stop dla strzelnicy”. Prowadzi we wsi szkołę jeździecką i stajnię Elba, raj dla miłośników koni. Z mieszkańcami walczy o zatrzymanie planowanej budowy strzelnicy. Sześć lat temu sprzedała wszystko, co miała, i kupiła 7 ha ziemi, by stworzyć szkołę. Inni mieszkańcy też włożyli w rozwój wsi ogromne pieniądze – właściciele hotelu i restauracji z parkiem i strefą spa przez lata inwestowali, budując miejsce znane z organizacji weseli i imprez.

– Jeśli powstanie strzelnica, kto nam zwróci te lata ciężkiej

pracy i wyrzeczeń? – pyta właścicielka stajni.

Boi się, że w miejscu, gdzie miała być przestrzeń do wypoczynku i rozwoju turystyki, pojawi się chaos i huk.

– Dla mnie ośrodek jeździecki jest spełnieniem największego marzenia w życiu – mówi „Gazecie Lubuskiej” Pacewicz. – Włożyłam w to wszystkie pieniądze. Marzyłam o tym od dziecka, uratowałam wiele koni i stworzyłam przestrzeń dla dzieci i rodziców. Nie po to uciekłam z miasta, żeby bać się o dzieci i zwierzęta.

Od myśliwych miała usłyszeć, że konie służyły w czasie wojny i nie bały się wystrzałów.

„Nie będzie się tu dało żyć”

Jednocześnie Pacewicz podkreśla, że walczy nie tylko o spokój swój i zwierząt.

– Robię to dla mieszkańców wsi – tłumaczy. – Dzisiaj mamy tutaj ciszę, możemy podziwiać śpiew ptaków. A później nie będzie się tu dało żyć. Walczymy teraz, bo gdy po raz pierwszy wbiją łopatę pod strzelnicę, będzie już za późno.

Mieszkańcy obawiają się rykoszetów i wypadków związanych z funkcjonowaniem nowej inwestycji.

– A co jeśli pięcioletnie dziecko spadnie z konia, bo przestraszy się huku? Kto weźmie za to odpowiedzialność? –

szefowa komitetu zadaje kolejne retoryczne pytanie.

– Nawet najwyższe wały nie są w stanie przed tym w pełni uchronić – dodaje. – Widzimy, co dzieje się w innych miejscach. To realne zagrożenie.

Szefowa szkółki mówi, że „myśliwi chcą zamienić to miejsce w poligon”.

Petycja

Mieszkańcy w kozuchowskim urzędzie złożyli petycję do rady miejskiej. Podpisało się pod nią ponad tysiąc osób, głównie z Radwanowa i najbliższej okolicy.

– Chcemy, żeby radni zmienili plan zagospodarowania przestrzennego – tłumaczy. – I przywrócili zapis o tym, że to tereny o przeznaczeniu rolnym.

Mieszkańcy liczą też na usunięcie zapisów dopuszczających lokalizację strzelnicy.

Szefowa komitetu podkreśla, że po tym, jak doszło do zmiany na szczycie władzy w Kozuchowie, zmieniło się też podejście gminy do strzelnicy. Bo plan zagospodarowania przestrzennego zmieniony został jeszcze za poprzedniego burmistrza Pawła Jagaskę. Dzisiejsza burmistrz Alina Śmigiel stoi po stronie mieszkańców Radwanowa.

W petycji zaznaczają, że plan wzbudza wątpliwości nie tylko natury społecznej, ale i prawnej, urbanistycznej. Nie widzą racjonalności w tym, żeby to były tereny dedykowane dla sportu i rekreacji.

– Zezwalając w istocie wyłącznie na budowę na tym obszarze strzelnic i infrastruktury związanej ze strzelnicą. Stanowi to nadużycie przysługującego gminie władztwa planistycznego – czytamy w piśmie. – W konsekwencji stanowi też podstawę do podjęcia dalszych działań, jakimi jest chociażby skarga do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Chcielibyśmy jednak uniknąć tego rodzaju procedur, wierząc głęboko, że nasze stanowisko zostanie wysłuchane, zaś tutejsza Rada Miejska podejmie stosowne działania w przedmiocie zmiany, która będzie zgodna z interesem społecznym, zwłaszcza lokalnej społeczności.

Dalej czytamy, że petycja jest również głosem lokalnych ro-

ników, przedsiębiorców i rodzin z sąsiednich miejscowości.

– Od lat funkcjonują w tej przestrzeni, rozwijają ją, inwestują i przede wszystkim żyją tu, często od pokoleń – piszą autorzy pisma.

Dodają, że ich obawy były przez poprzednie władze Kozuchowa „bagatelizowane, pomijane, a wręcz ignorowane i wyszydzane”. Liczą, że tym razem będzie inaczej.

Miejsce spacerów

– (...) tereny, o których mowa, od zawsze miały charakter rolny – czytamy dalej. – Są z dala od zwartej zabudowy związanej z miejscowością, ale w bezpośrednim sąsiedztwie działek zamieszkałych, terenów produkcji rolniczej i gruntów użytkowanych przez lokalne rodziny i przedsiębiorstwa. Grunty sąsiadujące są uprawiane rolniczo, ale też służą za miejsce spacerów i rekreacji. Te tereny nie są i nigdy nie były przestrzenią, którą mieszkańcy utożsamiają ze sportem strzeleckim czy rekreacją przeznaczoną w istocie dla myśliwych, a tym bardziej z hałasem i niebezpieczeństwami, jakie wiążą się z funkcjonowaniem obiektów takich jak strzelnice, niezależnie od ich charakteru.

„Apelujemy o refleksję”

– Nie godzimy się na to, żeby nasza wieś i jej otoczenie były postrzegane jako przestrzeń „do wykorzystania” przez lobby łowieckie czy jakiegokolwiek inne grupy wpływu – piszą mieszkańcy. – Mamy prawo do życia w spokoju, bezpieczeństwie, bez zagrożenia dla dzieci, seniorów, zwierząt hodowlanych i dzikiej przyrody, która w tym rejonie zachowała jeszcze swoją naturalność.

Autorzy petycji powołują się na analizy środowiskowe z innych gmin.

– Oddziaływanie hałasu ze strzelnic może sięgać nawet kilkuset metrów, zaś bez odpowiednich ekranów akustycznych i analiz oddziaływania na środowisko lokalizacja taka jest wprost sprzeczna z zasadami ochrony ładu przestrzennego i środowiska – zwracają uwagę.

Pod koniec petycji czytamy, że jest „wyrazem troski o dobro wspólne, ładu przestrzenny i prawa mieszkańców, które nie mogą być podporządkowywane interesom partykularnym”.

– Apelujemy o refleksję, wysłuchanie głosu lokalnej społeczności i odważne przywrócenie właściwego porządku planistycznego – zwracają się do radnych autorzy.

Co konkretnie ma powstać?

Myśliwi mówią, że inwestycja w Zielonogórskie Centrum Strzelectwa jest realizowana zgodnie z planem.

Grunty w Radwanowie kupili w 2020 r. Wtedy zaczęli prace projektowe. Do dziś powstało przyłącze elektroenergetyczne z transformatorem, ogrodzenie terenu z bramą wjazdową, dokumentacja projektowa. Jest też pozwolenie na budowę.

– Oczekujemy na raport o oddziaływaniu na środowisko i decyzję o środowiskowych uwarunkowaniach – mówi nam łowczy okręgowy Jacek Banaszek, przewodniczący zarządu okręgowego Polskiego Związku Łowieckiego w Zielonej Górze.

Powierzchnia działki, na której ma powstać strzelnica, to dokładnie 28,3748 ha. Inwestycja zakłada powstanie sportowych osi strzeleckich (800 m, 50 m, 100 m i 25 m), stanowiska strzeleckie kryte, tor łuczniczy, parkur myśliwski (strzelanie do rzutek), trapo-skeet sportowy krąg myśliwski, sportową strzelnicę krytą pneumatyczno-kulową. Do tego budynki techniczne i gospodarcze (kontenery), budynek administracyjny, zbiornik przeciwpożarowy, obwałowania, kulochwyty, parkingi i drogi wewnętrzne.

Największa w Europie?

We wsi słyszymy, że to ma być największa strzelnica w Europie. Co na to myśliwi? Że „nie można jednoznacznie takiej wskazać, bo różne kryteria – np. powierzchnia czy liczba stanowisk – mogą definiować to pojęcie”.

– Do wymienianych w Europie największych strzelnic należą Feldkirch w Austrii i duże kompleksy strzeleckie w Niem-

AUTOREKLAMA

0011412118

Jesienne sadzonki roślin za elektrośmieci

Przynieś elektrośmieci
i odbierz piękne sadzonki
jesiennych roślin.

18 października (sobota)

godz. 10:00 - 14:00

Parking przed marketem Bricomarché
(ul. Południowa 5, Sulechów).

Podczas akcji zbierane
będą małe, średnie, duże
elektrośmieci, baterie,
ładowarki oraz tonery.



Szczegóły na www.gazetalubuska.pl/jesienne_sadzonki

ORGANIZATOR

PARTNER LOKALIZACYJNY

PARTNERZY

GAZETA LUBUSKA



ROCKWOOL

B+C EKO-ENERGIA
Sp. z o.o.



FOT. SANDRA STEMPNIEWSKA

Anna Pacewicz sprzedała wszystko, co miała, i kupiła 7 ha ziemi, by stworzyć szkółkę

czek i Francji - mówi Banaszek. - Nie mamy szczegółowych danych porównawczych. Strzelnica Marynino w Serocku jest największą strzelnicą cywilną w Polsce. Powierzchnia obszaru, na którym jest strzelnica, nie świadczy o wielkości samej strzelnicy i jej możliwościach czy uciążliwości dla mieszkańców. Duża obszarowo strzelnica, przy rozsądnym rozmieszczeniu osi i stanowisk strzeleckich, zdecydowanie lepiej chroni okolicznych mieszkańców przed ewentualnym hałasem i innymi zagrożeniami.

Dlaczego wybór padł właśnie na Radwanów? PZŁ tłumaczy, że to się stało „po długotrwałych poszukiwaniach gruntów, które

odpowiadają potrzebom myśliwych i pasjonatów strzelectwa”. - Najważniejszymi kryteriami wyboru miejsca były bezpieczeństwo, brak uciążliwości dla okolicznych mieszkańców oraz możliwość profesjonalnego i bezpiecznego szkolenia strzeleckiego myśliwych i pasjonatów strzelectwa - stwierdza szef zielonogórskiego PZŁ.

Według niego działka w gm. Koźuchów te kryteria spełnia.

„Otwarte dla wszystkich”

Narracja PZŁ jest taka: władze, mieszkańcy i przedsiębiorcy, którzy działają w pobliżu planowanej inwestycji, wiedzieli o niej od co najmniej

2021 r., a w 2023 pojawiły się pierwsze sygnały sprzeciwu.

- Byliśmy zaskoczeni - twierdzi Banaszek. - Projekt miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla tego terenu był szeroko konsultowany z władzami gminy, mieszkańcami Radwanowa i gminy. Przy uchwalaniu miejscowego planu dla naszej działki nie stwierdzono żadnych zastrzeżeń i sprzeciwów. Opracowanie projektowe dla strzelnic myśliwskich zostało zlokalizowane na terenie działki zgodnie z uchwalonym miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego.

- Procedura uchwalania miejscowego planu - dodaje

szef okręgowego PZŁ - daje mieszkańcom pełny wgląd w proponowane kierunki zmian i możliwość wypowiedzenia się. Liczymy się ze zdaniem mieszkańców, ale jesteśmy pewni, że działalność strzelnicy nie wpłynie na ich bezpieczeństwo i spokój. ZCS będzie otwarte dla wszystkich posiadaczy broni, społeczności lokalnej, placówek oświatowych. Będzie też miejscem otwartym dla wydarzeń lokalnych i integracji mieszkańców gminy.

Myśliwi stwierdzają, że „powstanie strzelnicy pobudzi lokalną gospodarkę, turystykę sportową i zapewni szkolenie i aktywny wypoczynek dzieci i młodzieży”.

„Nie ma powodów do obaw”

Banaszek ocenia, że mieszkańcy Radwanowa i okolicy „nie mają powodów do obaw o hałas, a w szczególności o zagrożenia dla życia i zdrowia”. Powołuje się na badania hałasu przeprowadzone przez katedrę akustyki i multimediów Politechniki Wrocławskiej.

- Jednocześnie wskazują, że żadnego hałasu i zakłóceń spokoju mieszkańców nie będzie - mówi szef regionalnego PZŁ. - Jednym z powodów zakupu tak dużej działki dla potrzeb strzelnicy jest maksymalne zwiększenie odległości

od najbliższych zabudowań, które są tysiąc metrów od granicy działki. Nie zabierzemy mieszkańcom Radwanowa i okolicznych miejscowości spokoju i bezpieczeństwa, a działalność strzelnicy nie będzie miała wpływu na zwierzęta hodowlane. Ich obawy są dla nas zrozumiałe, ale badania i eksperymenty strzeleckie świadczą o tym, że uciążliwości i zagrożeń nie będzie. Zastosowana technologia, w tym budowa wałów ochronnych i barier akustycznych, położenie strzelnicy i zaplanowane kierunki strzelań zapewnią pełne bezpieczeństwo. Wały ochronne zostaną zrobione z urobku powstałego z budowy zbiornika przeciwpowodziowego i nie zachodzi obawa degradacji dróg dojazdowych przez ciężkie pojazdy.

Pytamy, czy myśliwi rozważają zmianę miejsca inwestycji, skoro tylu mieszkańców się jej sprzeciwia. W odpowiedzi słyszymy, że nie.

- Zakupiona na ten cel działka jest optymalnym miejscem realizacji takiej inwestycji. Gwarantuje realizację szkolenia strzeleckiego przy zachowaniu pełnego bezpieczeństwa i spokoju mieszkańców - powtarza Banaszek. - Należy również pamiętać o kosztach poniesionych przez PZŁ i o konieczności szkolenia strzeleckiego obywateli w sytuacji zagrożenia wojną. Jesteśmy prze-

konani, że ZCS stanie się w przyszłości wizytówką gm. Koźuchów, dobrym przykładem harmonijnej i efektywnej współpracy władz samorządowych z myśliwymi.

Gmina poszła do WSA

Przypomnijmy: wcześniej starostwo powiatowe wydało negatywną decyzję dotyczącą zatwierdzenia projektu zagospodarowania i pozwolenia na budowę. PZŁ odwołał się do wojewody lubuskiego, ale ten jest myśliwym, więc chciał wyłączyć się ze sprawy.

Ta finalnie trafiła do wojewody wielkopolskiego, który uchylił decyzję starostwa i zatwierdził projekt zagospodarowania terenu, projekt architektoniczno-budowlany i udzielił PZŁ pozwolenia na budowę strzelnicy. Ustaliliśmy, że gm. Koźuchów zaskarżyła to do WSA.

- Teraz sprawa toczy się przed sądem - mówi „Lubuskiej” burmistrz Alina Śmigiel.

Wracamy do szefowej komitetu „Stop dla strzelnicy”.

- To my byliśmy tutaj pierwsi i nie pozwolimy, by ktoś odebrał nam nasze miejsce na ziemi - puentuje. - Najlepiej gdyby myśliwi z szacunku do mieszkańców Radwanowa i okolicy zmienili lokalizację. Tak ogromne inwestycje powinny być minimum 10-15 km od zabudowań.

REKLAMA

0011399169

ŚWIĘTUJEMY OTWARCIE PARKU HANDLOWEGO W LUBSKU!

18 PAŹDZIERNIKA 12:00-18:00

RÓB ZAKUPY,
ZGARNIAJ
NAGRODY!
UL. WROCŁAWSKA 90

KOLOROWA FIESTA
DLA CAŁEJ RODZINY:
ANIMACJE CYRKOWE, MALOWANIE
TWARZY, TATUAŻE, WATA CUKROWA,
POPCORN, FOTOBUDKA!

S1
LUBSKO

CZEKAMY
NA CIEBIE!

NIE DAŁA PODCIAĆ SOBIE SKRZYDEŁ

„Nigdy nie będziesz prawdziwą florystką”, „nigdy nie poradzisz sobie na studiach”. Tak ludzie mówili jej to tylko dlatego, że jest chora i czasem, z powodu okropnego bólu, robi coś wolniej, choć zawsze bardzo sumiennie. 21-letnia Nikola to dowód na to, że zawsze warto walczyć o siebie i swoje marzenia.

Aleksandra Łuczyńska

Wyobraźcie sobie, że macie marzenia, a ktoś wam mówi, że to się nigdy nie uda. Że robicie coś najlepiej, jak potraficie, ale słyszycie tylko, że nie dajecie rady, że za wolno, że źle, i do niczego się nie nadajecie... Dla Nikoli Spychalskiej to była codzienność, której powiedziała stanowcze „nie”. Warto było.

Ma 21 lat i cierpi na niezwykle rzadką chorobę, to zespół Ehlersa-Danlosa. Diagnozę usłyszała dopiero będąc nastolatką, chociaż od urodzenia było wiadomo, że coś jest nie tak. W okresie dorastania zaczęły się nasilać objawy. Hiper-mobilność, której efektem są zwyrodnienia, przepukliny, do tego męczliwość, częsta gorączka. Osoby z tą chorobą mają

bardzo elastyczną i kruchą skórę, na której trudno goją się rany. To wszystko razem utrudnia normalne funkcjonowanie, ale Nikola każdego dnia udowadnia, że ta diagnoza to nie wyrok. Że pomimo ogromu przeciwności, trudnego do zniesienia bólu, jest w stanie spełniać marzenia. A łatwo nigdy nie było i nadal nie jest.

Przewracam się, gdy próbuję biegać

- Mogę swoje ciało wyginać na różne strony, na tym polega hiper-mobilność. Nie robię tego świadomie. Nie nauczę się nigdy biegać, chociaż czasem próbuję, ale zawsze się przewracam. Kiedyś takie osoby pokazywali w cyrkach, jako atrakcję, bo mogły wchodzić do małych skrzynek wyginając swoje ciało. Mówi się o nas

zebry, bo jak słuchać tętent kopyt to każdy pomyśli, że to koń, ale mało kto pomyśli, że to może być zebra. Jest nas tak bardzo mało. Nie wiem nawet, ile ludzi w Polsce choruje, nigdy nikogo osobiście nie spotkałam w swojej okolicy - mówi Nikola.

Są dni gdy czuje się całkiem znośnie, wręcz bardzo dobrze, ale zdarzają się takie, gdy nie jest w stanie wyjść z łóżka. Gdy boli tak bardzo, że nie może się skupić, że dostaje oczopląsu. Bardzo często gorączkuje. Na szczęście, przez lata spotykała na swojej drodze osoby, które stały i wciąż stoją za nią murem, wspierają i pomagają na wiele sposobów. Mówi, że to są jej anioły. Niestety, nie brakuje też mrocznej strony... Są i tacy, którzy z powodu choroby oceniają, wykluczają.

Nie nadajesz się na studia

- Chodziłam do Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego. Wśród rówieśników nigdy nie spotkałam się z hejtem, gorzej było z nauczycielami. Od jednej z nauczycielek usłyszałam, że nigdy nie poradzisz sobie na studiach. Miałam mnóstwo nieobecności i to nie były wagi, ja po prostu czułam się tak źle, że nie byłam w stanie przyjść na lekcje. A jak się już pojawiałam to zdarzało się, że ktoś nie odczytał mojego nazwiska na liście obecności. Sugero-wano, że powinnam zrezygnować z nauki w tym liceum. To miała być szkoła dostosowana do osób niepełnosprawnych, ale taka nie jest. Byłam akceptowana, dopóki choroba nie była na tyle rzutowa, że przestałam być perfekcyjna - wspo-

mina Nikola, która maturę zdała ze świetnymi wynikami. A dziś z powodzeniem studiuje zaocznie psychologię na SWSP we Wrocławiu.

Na szkole hejt się nie skończył. Nikola przez rok pracowała w kwiaciarni i jak wspomina, sama praca była świetna, pokochała florystykę i wszystko, co z nią związane, jednak gorzej było z atmosferą. Od jednej ze współpracowniczek słyszała, że nigdy nie będzie prawdziwą florystką, że pracuje za wolno. - Po roku zwołałam się, chociaż nie miałam nowej pracy, a tak mówiono. Przez dwa miesiące siedziałam w domu i płakałam, to był trudny czas, nie umiałam znaleźć sobie miejsca. Te wszystkie słowa bardzo bolały i do dziś trudno je zapomnieć, chociaż była tam też jedna

osoba, która bardzo we mnie wierzyła - opowiada.

Zaczęła od stroików na skrzyżowaniu

W domu nie była w stanie siedzieć zbyt długo. Po pewnym czasie zaczęła robić stroiki nagrobne dla rodziny. Spodobały się, zaczęła robić więcej, a po dwóch miesiącach założyła firmę. Wiedziała, że te stroiki to sezonowy produkt, musiała robić coś jeszcze, żeby się utrzymać. Nikola zaczęła robić boxy z kwiatami mydłanymi. Sprzedawała je na placu przy głównym skrzyżowaniu w Lipinkach Łużyckich. Szło jej świetnie, chociaż jak podkreśla, bez pomocy dobrych ludzi, nie miałaby szans na prowadzenie działalności. Na szczęście tych ludzi nie brakuje. - Na placu w Lipinkach jest też budka z ke-

AUTOREKLAMA

0011410094

Darmowe Porady Prawne z Gazetą Lubuską. Zapraszamy do Galerii Focus Mall w Zielonej Górze. Czekamy na Was w czwartek, 16 października.

Już w czwartek, 16 października w godzinach 15:00-19:00 w Centrum Handlowym

Focus Mall (poziom O, obok sklepu Homla) odbędzie się Dzień Darmowych Porad Prawnych - wydarzenie, podczas którego doświadczeni prawnicy udzielą bezpłatnych konsultacji w kluczowych obszarach prawa. Inicjatywa ma charakter otwarty - serdecznie zapraszamy wszystkich, którzy chcieliby skonsultować swoją sytuację z profesjonalistą.

Podczas Bezpłatnego Dnia Porad Prawnych w Focus Mall Zielona Góra do dyspozycji uczestników będą trzy stanowiska reprezen-

towane przez Okręgową Izbę Radców Prawnych w Zielonej Górze w osobach: **r.pr. Anna Borowiec, Idalia Łyczkowska i r.pr. Katarzyna Kaiser.**

Bezpłatnych porad będzie można zasięgnąć w poniższych tematach:

- **r.pr. Anna Borowiec:**
 - sprawy rodzinne
 - sprawy spadkowe
 - sprawy upadłości konsumenckiej
 - sprawy dot. sporów bankowych
 - sprawy emerytalno-rentowe
 - sprawy gospodarcze
 - sprawy karne
- **Idalia Łyczkowska:**
 - prawo pracy

- prawo rodzinne i opiekuńcze
- prawo cywilne
- prawo ochrony danych osobowych

• r.pr. Katarzyna Kaiser:

- prawo cywilne
- prawo rodzinne i opiekuńcze

To świetna okazja, by skonsultować swoje wątpliwości z prawnikiem - bez opłat, bez zapisów, bez zobowiązań. Po przyjściu na wydarzenie uczestnicy będą mogli skorzystać z konsultacji przy jednym z powyższych stanowisk, a o czasie porad będzie decydowała kolejność przyjścia. Do każdego stanowiska będzie obowiązywała osobna kolejka.

ORGANIZATOR

PARTNER LOKALIZACYJNY

PARTNER GŁÓWNY

GAZETA LUBUSKA

#napoprawęnastraju
FOCUS
mall



babem, chłopcy stamtąd zawsze bardzo mi pomagali. Jak tylko zaczynałam ustawiać towar, stół, oni nagle się pojawiali i robili to dużo szybciej, niż ja sama byłam w stanie. Ja ciągle spotykam na swojej drodze takie anioły - mówi.

Po roku handlu na dworze postanowiła wynająć lokal w Żarach. Najważniejszym warunkiem było dostosowanie do osób niepełnosprawnych. - Zajął mi to kilka dni, od znalezienia lokalu, podjęcia decyzji i uruchomienia kwiaciarni. Kompozycje robię sama u siebie w domu, mam tam swoją pracownię.

Wyrozumiali klienci

Prowadzi też sklep online, a kiedy założyła profil Flora Art na Facebooku w ciągu roku zdobyła 9,5 tysiąca obserwujących. Na profilu regularnie opowiada o swojej pracy, sukcesach. Wygrywa autentycznością.

- Mam wspaniałych klientów, niektórzy przyszli za mną z kwiatami, w której wcześniej pracowałam. Nie brakowało takich negatywnych głosów, niektórzy pytali, po co to robię, przecież tyle tego jest w okolicy. Ale ja uważam, że Żary czekały na mnie, firma świetnie działa, mam sporo zamówień. Klienci są też wyrozumiali, bo wiedzą, że ja nie zawsze jestem w stanie pracować dlatego zamówienia

przyjmuję z dużym wyprzedzeniem - mówi Nikola.

Nie ma leku na tę chorobę

Przy chorobie nie pracuje się łatwo. Brak napięcia mięśniowego w rękach powoduje, że czasem przycięcie jednego drucika przy stroiku wymaga ogromnego skupienia. Każdy ruch musi być precyzyjny i wymaga koncentracji. Nikola pracuje na siedząco, stojąc zbyt długo mogłaby upaść, czy nawet zemdleć. - Na tę chorobę nie ma żadnego leku, nikt nawet nad tym nie pracuje. Nie mogę też dostać orzeczenia o niepełnosprawności, bo lekarze mnie zbywają, mówią, że nie jestem wystarczająco chora. Poruszam się chodząc o kulach, być może będę musiała jeździć na wózku inwalidzkim - mówi. - Chcę zatrudnić pracowniczkę, bo nie zawsze mogę być na miejscu, mam rehabilitację, czasem źle się czuję.

Studiuje psychologię i marzy o tym, żeby kiedyś pomagać osobom z niepełnosprawnościami. - Chciałabym mówić im, że będą tym, kim chcą być, tylko świat nie będzie chciał się dostosować. Mnie nikt nie chciał, pracodawcy się bali mnie przyjąć, a dziś mam swoją kwiaciarnię. Sama chodzę na terapię, to dzięki temu jestem też w stanie wiele wytrzymać - dodaje.



Nikola Spychalska otworzyła kwiaciarnię Flora Art w Żarach. Mimo choroby, z którą się zмага, świetnie sobie radzi

FOT. ALEKSANDRA LUCZYŃSKA

REKLAMA

0011412614

NOWE MIESZKANIA W STRZELCACH KRAJEŃSKICH!



Kiedy?

Od 15 września do 17 października

Gdzie?

Urząd Miejski w Strzelcach Krajeńskich
– osobiście, przesyłką pocztową i elektronicznie



BGK
BANK GOSPODARSTWA
KRAJOWEGO

Więcej informacji:
strzelce.pl (zakładka Mieszkania SIM)
www.simkzn-zachodni.pl (zakładka Oferta)
tel.: +48 95 763 63 36 lub +48 95 763 63 34



SPOŁECZNA INICJATYWA
MIESZKANIOWA KZN-ZACHODNI

- dostępne jeszcze **3 mieszkania trzypokojowe**, **13 dwupokojowych** i **1 kawalerka** dostosowana do potrzeb osób z niepełnosprawnością ruchową
- powierzchnia lokali **od ok. 33 m² do ok. 58 m²**
- parking naziemny
- mieszkania **wykończone „pod klucz”**
- ogrzewanie **gruntową pompą ciepła**
- **fotowoltaika**
- **zieleń** i miejsca rekreacji
- bliskość **jeziora**
- przekazywanie kluczy: **lipiec 2026 r.**
- **czynsz: od ok. 900 zł do ok. 1600 zł**
- **partycypacja:** od ok. 60,7 tys. zł do ok. 107 tys. zł
- **3-miesięczna kaucja:** od ok. 2,6 tys. zł do ok. 4,7 tys. zł
- możliwość skorzystania z dopłat do czynszu

O INWESTYCJI

REKLAMA

0011412284



Burmistrz Szprotawy

OGŁOSZENIE

**Burmistrza Szprotawy
o wyłożeniu do publicznego wglądu projektu miejscowego
planu zagospodarowania przestrzennego**

Na podstawie art. 17 pkt 9 i 11 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 1130 ze zm.), w związku z art. 67 ust. 3 pkt 4 ustawy z dnia 7 lipca 2023 r. o zmianie ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym oraz niektórych innych ustaw (Dz. U. z 2023 r., poz. 1688), oraz intencyjnej uchwały nr XLVII/372/2022 Rady Miejskiej w Szprotawie z dnia 15 czerwca 2022 r. w sprawie przystąpienia do sporządzenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego, zmienioną uchwałą nr XXIII/149/2025 Rady Miejskiej w Szprotawie z dnia 25 lipca 2025 r. w zakresie zmniejszenia granic planu **zawiadamiam o wyłożeniu do publicznego wglądu projektu miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla terenów produkcyjnych w obrębie Dzieńmierowice, gminy Szprotawa, w dniach od 17 października 2025 r. do 7 listopada 2025 r. w siedzibie Urzędu Miejskiego w Szprotawie, Rynek 45, 67-300 Szprotawa, w pokoju nr 16, w godzinach pracy Urzędu oraz na stronie BIP www.szprotawa.pl.**

Dyskusja publiczna nad rozwiązaniami przyjętymi w projekcie planu miejscowego **odbędzie się w dniu 7.11.2025 r.** w siedzibie Urzędu Miejskiego w Szprotawie, Rynek 45, w sali rycerskiej o godz. 14:00.

Każdy, kto kwestionuje ustalenia przyjęte w projekcie planu miejscowego, może wnieść uwagi. **Uwagi należy składać** do Burmistrza Szprotawy, w formie pisemnej na adres Urzędu Miejskiego w Szprotawie, Rynek 45, 67-300 Szprotawa, za pomocą środków komunikacji elektronicznej na adres: ratusz@szprotawa.pl lub drogą elektroniczną opatrzone bezpiecznym podpisem elektronicznym lub podpisem potwierdzonym profilem zaufanym ePUAP, lub za pomocą elektronicznej skrzynki podawczej ePUAP, z podaniem imienia i nazwiska lub nazwy jednostki organizacyjnej i adresu, oznaczenia nieruchomości, której uwaga dotyczy, w nieprzekraczalnym terminie **do dnia 21 listopada 2025 r.** Organem właściwym do rozpatrzenia złożonych uwag jest Burmistrz Szprotawy.

Jednocześnie na podstawie art. 39, w związku z art. 54 ust. 2 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 1112) **zawiadamiam o możliwości zapoznania się**, w ramach przeprowadzanej strategicznej oceny oddziaływania na środowisko, z **prognozą oddziaływania na środowisko oraz z dokonanymi opiniami i uzgodnieniami**. Zainteresowani mogą składać uwagi i wnioski do ww. dokumentu do Burmistrza Szprotawy, w formie pisemnej oraz ustnie do protokołu.

Właściwym do rozpatrzenia opinii, wniosków i uwag jest Burmistrz Szprotawy.

Treść klauzuli informacyjnej dotyczącej przetwarzania danych osobowych jest dostępna na stronie internetowej w Biuletynie Informacji Publicznej oraz w siedzibie Urzędu Miejskiego w Szprotawie.

**Burmistrz Szprotawy
Mirosław Gąsik**

Szprotawa, 10.10.2025 r.

REKLAMA

0011412836

BURMISTRZ SZPROTAWY

informuje, że w siedzibie Urzędu Miejskiego w Szprotawie zostały wywieszone:

- **Zarządzenie nr 0050/168/2025** Burmistrza Szprotawy z dnia 2 października 2025 r. w sprawie przeznaczenia do sprzedaży w drodze przetargu nieruchomości stanowiące własność Gminy Szprotawa,
- **Zarządzenie nr 0050/169/2025** Burmistrza Szprotawy z dnia 2 października 2025 r. w sprawie przeznaczenia do dzierżawy w drodze bezprzetargowej nieruchomości stanowiących własność Gminy Szprotawa na okres do 3 lat.

NIE JĘCZ, TYLKO DZIAŁAJ, CZYLI BICYKLEM DOOKOŁA POLSKI. DLA CÓRKI

Strażak z Zielonej Góry, Łukasz Jęcz, wyruszył na XIX-wiecznym bicykle w podróż dookoła Polski. Pokonał blisko 2.700 kilometrów w 27 dni. Wszystko po to, by nagłośnić zbiórkę pieniędzy na leczenie i rehabilitację czteroletniej córki.

Leszek Kalinowski, Mariusz Kapala

Na mecie, w jednostce straży pożarnej przy ul. Sulechowskiej w Zielonej Górze, czekali na niego rodzina, przyjaciele, koledzy z pracy, mieszkańcy. Gratulowali, bo nikt takiego wyczynu w Polsce nie dokonał.

Zielonogórczanin dziękował za wsparcie, które czuł każdego dnia w trasie.

- Nigdy nie zapomnę tej podróży, tej energii, jaką dostawałem od ludzi. Uśmiechy kierowców, pokazywanie OK przez mieszkańców miast i wsi. To było dla mnie motywacją, by przeć do przodu mimo deszczu czy silnego wiatru. W trudnych chwilach spoglądałem na zdjęcie mojej Emilki na kierownicy i mówiłem sobie, co tam ja, ona jest bohaterką. Bo z jakimi ona problemami musi się zmagać - mówi Łukasz Jęcz. - Mój trud jest niczym w porównaniu z jej kłopotami.

Byłem jak żagiel

Już pierwszego dnia pokonał 106 km. A przecież najdłuższy trening to 78 km. Następnego dnia odczuwał mocny ból. Zakwasy, ciężko było usiąść... Ale dał radę. Z bólem kręgosłupa. I bólem mięśni. Z przemęczeniem.

- Nie jęcz, tylko działaj! - powtarzał swoje życiowe hasło i pokonywał kolejne kilometry.

Najtrudniej było w górach. Wiadomo, bez amortyzatora, bez przerutek. Odczuwało się nawet każdy wjazd na kamień czy jakąś nierówność.

Mazury też pagórkowate, więc i tu nie było tak łatwo.



FOT. MARIUSZ KAPALA

- Praktycznie codziennie strzelały szprychy. Ale mieliśmy zapasowe, z ponad 60 aż 34 trzeba było wymienić - wspomina Łukasz Jęcz

- Trud rekompensowała poranna kąpiel w jeziorze Wigry - podkreśla.

Trzeba było zmagać się nie tylko z ukształtowaniem terenu czy kostką brukową, ale także z kapryśną pogodą, która w tym roku nas nie rozpieszczała.

- Byłem też jak żagiel. Bicykl ma 170 cm plus mój wzrost. Wiatr mocno dawał opór - podkreśla. - A najgorsza pogoda? Jak już było blisko domu, gdy przekroczył granicę województwa lubuskiego.

Zimno, silny wiatr, deszcze... Ale poczucie, że już nie-

bawem zobaczy córkę, żonę, rodzinę, kolegów dodawały mu sił.

Dwa razy zaliczył upadek

Bicykl też czasem sprawiał kłopot. Pod Krakowem urwał się pedał. W niedzielę wieczorem. Cóż było robić? Ojciec pana Łukasza, który towarzyszył synowi w podróży, pojechał szybko do Zielonej Góry, gdzie bicykl został naprawiony. Rano można było jechać dalej...

- Praktycznie codziennie strzelały szprychy. Ale mieliśmy

zapasowe, z ponad 60 aż 34 trzeba było wymienić - wspomina. - Czasem jechałem bez szprychy. Zawsze się znalazł ktoś kto pomógł, zaspawał i jeszcze wrzucił coś do puszki, gdy dowiedział się, po co to robię.

Nikt takiej wyprawy dotąd nie odbył, więc nie miał się na kim wzorować. Nic więc dziwnego, że i z nawigacją był kłopot.

- Jak ją zamontowałem na kierownicy, to wszystkie uchwyty pękały. Powód? Brak amortyzacji - opowiada zielonogórczanin.



Podczas akcji zebrano 106 tysięcy złotych. To wystarczy na sześć turnusów rehabilitacyjnych

Dwa razy zaliczył upadek. Na szczęście niegroźny. Wcześniej podczas treningu było gorzej - złamał zebro.

Zdarzały się też dosyć groźne sytuacje na drodze. Czasem kierowca niespodziewanie skręcał i trzeba było szybko reagować. Czasem tworzył się korek, bo kierowcy się zatrzymywali, robili zdjęcia, pytali, co to za akcja?

Bywało też i tak, że trzeba było uciekać przed niezbyt przyjaznymi psami. Na ogół jednak atmosfera podczas całej podróży była bardzo przyjazna.

Jak pan na to wsiada?

Czasem zmieniał trasę. Bo ludzie podpowiadali bardziej bezpieczne drogi i ścieżki.

W Gdańsku pewien mężczyzna powiedział: - Wiesz co, znam lepszą drogę. Odprowadzę cię. I wsiadł na rower, by wspólnie pojechać do Pucka. Nie był to odosobniony przypadek. Ludzie dołączali do niego, by choć pewien odcinek przejechać razem. Tak było też i w naszym województwie, w Kostrzynie nad Odrą czy w Krośnie Odrzańskim.

- Przez całą podróż czułem, że nie jestem sam. Wzruszyła

mnie sytuacja w Mielnie, gdzie pewien mężczyzna zamiatający piasek z chodnika, podszedł do mnie, pogratulował i wrzucił do puszki wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie - podkreśla tata Emilki. - Wzruszałem się, gdy ludzie podchodzili do mnie, przytulali mnie, tak mocno, po przyjacielsku. I jak mówili mi: Widziałem pana pod Rzeszowem, pod Elblągiem... i ten kawałek jechałem razem z panem. Ten kawałek to nierzadko 40-60 kilometrów.

Przeżył niezapomniane chwile, gdy ludzie bili mu brawo, gdy wjeżdżał na stare miasto w Gdańsku i zatrzymał się przy fontannie Neptuna czy w Krakowie przy jamie smoka wawelskiego.

Najczęstsze pytanie, jakie mu zadawano w drodze?

- Jak pan wsiada i jak pan zsiada? - słyszał to codziennie.

- No szybko - odpowiadał z uśmiechem.

Strażacy dali noclegi, wyżywienie

Przejechał 11 województw. Wszędzie mógł liczyć na strażaków, którzy okazali się niezawodni. Zawsze miał zapewniony



Pan Łukasz przejechał 11 województw. Wszędzie mógł liczyć na strażaków, którzy okazali się niezawodni. Zawsze miał zapewniony nocleg, przygotowane pyszne śniadanie, obiad, kolację, kawę, ciasto i dobre słowo

nocleg, przygotowane pyszne śniadanie, obiad, kolację, kawę, ciasto i dobre słowo.

- Wiadomo, po takim ciężkim dniu, ciepłe jedzenie, ciepła kąpiel i kołderka to było coś wspaniałego - opowiada. - I te serdeczne rozmowy, gesty i asysta strażaków na drodze. Niektórzy z nich specjalnie dla mnie zwalniali się z pracy, brali wolny dzień. By pomóc w różny sposób. Nigdy tego nie zapomnę.

Pewnego dnia po pokonaniu 100 km pojawiła się góra. Ciężko było się wdrapać, ale udało się. Jakież było jego zdziwienie, że po drugiej stronie czekają na niego strażacy ustawieni w szpaler. Z węzami. Wjeżdżał jak król pod mostem, który utworzył się z wody. Do tego mnóstwo sygnałów świetlnych, dźwiękowych. Wszystko na powitanie Łukasza Jęcza, super-taty i superstrażaka.

Takich sytuacji było wiele. - Brać strażacka to najlepsza formacja, jaką mamy w państwie - podkreśla. - Jesteśmy jak bracia, którzy w każdym momencie potrafią zjednoczyć, by pomóc. Mamy to we krwi.

Nie w każdej miejscowości, w której kończył się zaplano-

wany odcinek trasy, była ochotnicza czy zawodowa straż pożarna. W takim wypadku nocleg miał być w namiocie. Ale ani razu go nie rozbijał. Wówczas dach nad głową dawały mu gospodarstwa agroturystyczne.

- Dla mnie to była prawdziwa lekcja dobra, którą dostałem od ludzi - podkreśla. - Jestem im wszystkim niezmiernie wdzięczny.

Nie tak prosto znaleźć bcykl

Łukasz Jęcz to supertata Kitki, bo tak nazywana bywa w rodzinie Emilka. Ale supertatą jest też ojciec strażaka, który towarzyszył synowi podczas całej podróży. Jechał oklejonym busiem z informacjami o akcji. W trudnych sytuacjach zawsze znalazł rozwiązanie jak choćby wtedy gdy opadł z bcykla pedał.

Zresztą sam pojazd też niełatwo było zdobyć. Rok temu zielonogórzanin pojechał na Hel starym rowerem marki Wigry. To była pierwsza akcja dla małej Kitki. Nad morzem wpadł na pomysł, by kolejną wyprawę odbyła się na bcyklu i była znacznie dłuższa od tej, którą pokonywał (850 km).

No tak, tylko skąd wziąć taki XIX-wieczny pojazd. Szukał po całym świecie. Wreszcie znalazł w Stanach Zjednoczonych. Cena? 30 tys. zł. Nierealne. Trzeba było szukać dalej. W różnych krajach. I nagle na Allegro jest bcykl (replika z 1870 roku, waga 33 kg) w... Zielonej Górze, w dzielnicy Chynów.

- Ten pojazd musi być „skrojony” do wzrostu osoby, która ma na nim jeździć. Bo nie ma w nim regulacji. Okazało się, że ten zielonogórski jest idealny do mojego wzrostu - wspomina Łukasz Jęcz. - Wtedy już wiedziałem, że ten pomysł musi się udać. I że dzięki tej podróży wzdłuż granic naszego kraju uda się zebrać potrzebną kwotę na rehabilitację mojej córki. Ludzie mnie pytają o Księgę Rekordów Guinnessa, o wyczyn, a dla mnie to nie jest istotne. Rekordem jest suma, na którą złożyło się tyle dobrych serc i to że razem możemy dać Emilce nadzieję na lepsze jutro. Zebraliśmy 106 tysięcy złotych. To wystarczy na sześć turnusów rehabilitacyjnych.

Wielka szansa dla Kitki

Emilka jest po rozległym udarze. Ale najpierw stwierdzono nowotwór mózgu, który potem wykluczono.

- Nie wiadomo jednak było skąd się wziął ten udar, do którego doszła jeszcze padaczka. Okazało się potem, że to rzadka choroba genetyczna (RNU4ATAC). Udar zabrał Emilce wszystko i dlatego postanowiliśmy walczyć o jej zdrowie wszelkimi możliwymi sposobami - podkreśla strażak. - Córeczka została zakwalifikowana do specjalistycznego ośrodka w Budach Głogowskich pod Rzeszowem. To jedyne miejsce, które podjęło się kompleksowej rehabilitacji i fizjoterapii Emilki. Mamy nadzieję, że to właśnie tam zacznie się jej prawdziwa droga ku zdrowiu i sprawności. To wielka szansa dla naszej Kitki. Misja nadal trwa. Mam już jakiś nowy, chory pomysł. Nikt jeszcze takiego wyzwania się nie podjął. Ale najpierw muszę zdobyć odpowiednie umiejętności. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem. Nawet żona, ojciec nic nie wiedzą. No to się dowiedzą... z gazety. Trzymajcie kciuki!



RYS. TOMASZ BRODA



RYS. TOMASZ BRODA



RYS. TOMASZ BRODA

SZELEST PRZEWRAĆANYCH KARTEK MOŻE PRZESZKADZAĆ PIANISTOM

Z dr. hab. Tomaszem Brodą, lubuskim rysownikiem, profesorem wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych, rozmawia Robert Migdał

Na Konkursie Chopinowskim, na żywo, tworzysz „Galerię prędkich rysunków”. Co to takiego?

To jest tradycja, która istnieje od pierwszych Konkursów Chopinowskich: co 5 lat, jakiś artysta rysuje na żywo jurorów i laureatów w trakcie Konkursu. Narodowy Instytut Fryderyka Chopina zaproponował mi w tym roku, żebym napisał artykuł do gazety festiwalowej właśnie o tej tradycji, o rysownikach, którzy w czasie poprzednich edycji tworzyli portrety na żywo.

Ale nie tylko zaproponowano ci, żebyś napisał o rysownikach związanych z Konkursem Chopinowskim, ale też żebyś został jednym z nich. W tym roku to właśnie ty rysujesz, na żywo, jurorów, a za chwilę będziesz rysował laureatów Konkursu. Przyjąłem to wyzwanie z wielką radością. To jest dla mnie bardzo prestiżowe zajęcie – sam udział w tej „imprezie” to wielka sprawa. A świadomość, że uczestniczę w sztafecie pokoleń wielkich twórców, którzy przede mną rysowali uczestników Konkursu Chopinowskiego – to wielkie wyróżnienie.

Kto przed tobą rysował na żywo w Konkursie?

M.in. Eryk Lipiński, Edmund Mańczak czy Jerzy Szwajcer ps. Jotes. Ten ostatni to był geniusz, wybitny polski karykaturzysta, który działał głównie przed II wojną światową. Potrafił stworzyć świetne portrety Ignacego Paderewskiego czy Artura Rubinstein’a tylko paroma kreskami.

Na czym polega trudność w rysowaniu – jurorów, uczestników – na żywo, w trakcie trwania Konkursu?

Ja to porównuję z graniem na żywo. Wiąże się to z ogromną koncentracją, z emocjami. Kiedy nagrywasz muzykę w studiu, to zawsze możesz coś poprawić, nagrać jeszcze raz. Tak samo jest z rysowaniem – siedząc przy biurku, w domu – też można narysować raz jeszcze, coś podrasować, poprawić, gdy nie wyszło. Gdy rysujesz na żywo – nie ma możliwości poprawek, trzeba to robić w pełnym skupieniu, bo kolejnego podejścia nie będzie. Poza tym – rysuję w Filharmonii Narodowej, w trakcie gdy grana jest muzyka poważna, Chopin, a nie jakiś jazz czy rock.

DR HAB. TOMASZ BRODA, PROFESOR ASP WE WROCŁAWIU



FOT. ARCHIWUM DOMOWE

Pracuje na Wydziale Grafiki i Sztuki Mediów, w Katedrze Projektowania Graficznego - Pracownia Ilustracji. W 1992 r. ukończył studia

Musisz tworzyć w kompletnej ciszy? Bezszelestnie rysować kredką po papierze?

Muszę nawet uważać, kiedy przewracam kartki w czasie rysowania – ich szeleści może komuś przeszkadzać! Muszę być bardzo dyskretny.

Rysujesz w bardzo trudnych warunkach – i nie chodzi mi tylko o to, że w ciszy, skupieniu, na żywo, ale też jeśli chodzi np. o to, że jurorzy, czy muzycy – są od ciebie w pewnej odległości...

Dostałem miejsce na balkonie, tym samym balkonie, na którym siedzą jurorzy: tylko, że oni siedzą na wprost sceny, a ja siedzę z boku: po swojej prawej

w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu (obecnie ASP). Sam o sobie pisze: „Rysuję, ilustruję, robię lalki i maski z przedmiotów codziennego użytku, za pomocą których upodabnam się do innych ludzi. Od „Rubieża do Pikasa” to tytuł mojej autorskiej interpretacji

stronie widzę scenę, po lewej – jurorów. Całą siedemnastkę, w długim rzędzie, pod jednym kątem. Jednych widzę lepiej, innych gorzej.

Masz lornetkę?

No właśnie nie mam, a wiesz – to jest świetny pomysł. Muszę mieć lornetkę, kiedy za dwa tygodnie będę rysował laureatów Konkursu Chopinowskiego – to mi ułatwi pracę!

No i rysujesz trochę... w ciemności. Nie masz lampki, latarniczki nawet najmniejszej. Na portretach widać takie... „grzybki” – to lampki, które mają jurorzy, które im świecą, gdy sporządzają notatki. Ja nie-

historii sztuki. W autobiograficznym komiksie „Coś pan zmalował!” opisuję edukację plastyczną w Polsce od przedszkolaka do wykładowcy ASP, w autorskiej książce „Bookface. Księga twarzy” pisarzy pod szywy pod klasyków literatury w mediach społecznościowych.”

stety nie mam takiej lampki – rysuję w półmroku. To duże utrudnienie – dobrze by było, gdybym miał latarkę – czołówkę (uśmiech)

Warunki pracy nie są komfortowe dla rysownika tworzącego na żywo.

Towarzyszy mi ogromny stres, który wyzwała wielką koncentrację – ona mnie mobilizuje, działa na mnie bardzo stymulująco. Poza tym rysując w „normalnych warunkach”, domowych, czy też patrząc modelowi w oczy, łapiąc z nim kontakt wzrokowy rysuje się zupełnie inaczej, niż na koncercie. Dla mnie rysowanie na żywo jest

zapisem chwili – moje rysunki z Konkursu Chopinowskiego są zapisem emocji, które to rysowanie wyzwala.

Rysujesz tylko dwoma kolorami – czerwonym i czarnym. Dlaczego?

Bo to kolory kontrastowe. Czerwony i czarny, na białej lub kremowej kartce, to najsilniejsze zestawienie. One najbardziej ze sobą kontrastują.

Stworzyłeś już, na żywo, 17 portretów jurorów Konkursu Chopinowskiego plus ich zbiorowy portret, oraz portret honorowej jurorki – Lidii Grychtalówny, a za dwa tygodnie – narysujesz 10 lub 12 finalistów Konkursu.

Może uda mi się jeszcze narysować kulisy – np. portrety osób związanych z Konkursem: portret dyrektora, kogoś z biura prasowego, kogoś z publiczności...

Gdzie je będzie można zobaczyć – poza galerią rysunków w „Gazecie Wrocławskiej”?

We wtorek 7 października rysunki, na których są jurorzy, zostały opublikowane w gazecie festiwalowej – „Kurierze Chopinowskim”.

S p r a w a n a j w y ż s z e j w a g i



GRZYBOBRANIE. NARODOWY SPORT POLAKÓW

Z lasów każdego roku wynosimy 100 tysięcy ton podgrzybków, kozaków, borowików, kurek, maślaków. Zbieramy grzyby dla samych grzybów, dla zdrowia, dla kontaktu z naturą, czasami chcemy się po prostu wyciszyć i odstresować. Potem nasze zbiory smażymy, mrozimy, marynujemy, suszymy. I znowu ruszamy do lasu, by pielęgnować pasję zbieractwa

Dorota Kowalska

Coroku jest to samo. Zbliża się wrzesień, Jacek, pięćdziesięciolatek, zaczyna nerwowo przestępować z nogi na nogę. Zerkna na Facebooka, śledzi serwisy informacyjne, buszuje po sieci. Coś sprawdza.

- Zgadnij, co? - pyta Marta, żona.

- Pojęcia nie mam! - przyznaje.

- Sprawdza, czy już pokazały się grzyby - wybucha śmiechem.

Kiedy się pokażą, Jacek mógłby wygrać konkurs na najlepszego męża świata. Wyprzedza myśli Marty. Sprząta, robi zakupy, odbiera dzieci ze szkoły. Wszystko po to, aby w piątek wieczorem zapytać: „To może jutro rano skoczę na grzyby?”.

- Nie chodzi na spacer, nie chodzi do siłowni, nie uprawia sportu. Mówię mu przynajmniej raz w tygodniu, że musi zrzucić trochę brzucha. „Tak, tak” - obiecuje i na tym się kończy. Pokażą się grzyby, biega pięć godzin po lesie, a potem przyjeżdża do domu i pęka z dumy. „Zrobiłem 14 tysięcy kroków” - woła od progu, że niby tak dba o kondycję - opowiada Marta.

I przyznaje, że roboty przy grzybach nie ma. Jacek sam wszystko obiera, część grzybów suszy, czasem marynuje, częściej mrozi, czasami zanoszą sąsiadom.

Ale w tym roku Jacek jest jakiś nieswój. Nie wie, co robić. Zaczęła już sprzątać, czy jeszcze czekać? Raz piszą, że w lasach pusto, innym razem, że zaczęły się prawdziwe grzybowe wysyp.

Zostaje telefon do eksperta. To są grzyby czy ich nie ma?

- To zależy, gdzie - odpowiada Janusz Piechociński, były wiceprezes Rady Ministrów, minister gospodarki, były prezes PSL i zapalony grzybiarz.

Tam, gdzie była susza grzybów nie ma, tam gdzie lało - są. Ale bywają takie regiony w Polsce, choćby pod Warszawą, gdzie

grzybni najzwyczajniej w świecie zdążyła się zakonserwować. Mało padało w tym roku, mało w zeszłym, mało dwa lata temu. I teraz nawet jeśli spadnie na nią deszcz, trzeba czasu, żeby się odrodziła.

- Poziom wód gruntowych jest bardzo niski. Poza tym, dzisiaj deszcze są intensywne, ale krótkotrwałe, a to grzybni nie służy - tłumaczy ekspert Piechociński.

I dodaje, że w tym roku grzyby pokazały się miesiąc temu. Wtedy były rekordowe zbiory, oczywiście nie wszędzie. Ale on pod Starym Sączem zbierał kosze borowików i dostrzegł, że zaczynają pojawiać się prawdziwki. Dwa tygodnie temu pod Tarczynem zebrał ich 17,5 kilograma. Ale przyszły przymrozki i w sobotę spod Wyżkowa przywiózł ledwie koszycek grzybów.

Dla podtrzymania tradycji

Janusz Piechociński pasję zbieractwa oddziedziczył po mamie. Ta, jak mówi, zbierała grzyby z sukcesami. Sąsiedzi biegli do Puszczy Kozienickiej, w okolicy której mieszkali, z samego rana. Ona po szkole, potem po pracy spokojnie brała koszyk w rękę i ruszała w las. Wracając, uśmiechała się już od praga.

- I tak to się u mnie zaczęło. Nie mam czasu jeździć gdzieś daleko, więc zbieram grzyby w okolicach Celestynowa czy Piaseczna - opowiada Piechociński. Chodzi w tak zwane swoje miejsce, rano, w sportowym dresie. Wchodzi w kępy brzołek, w zarośla i szuka. Kiedyś po takiej porannej wyprawie spotkała go jakaś kobieta. „Ale ja pana widziałam wczoraj rano, latał pan jak wariat z wiaderkiem między drzewami” - zagadała ze śmiechem.

Najważniejsze, żeby wiedzieć, gdzie latać. Grzyby rosną



Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 procent podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję

w określonych miejscach, dlatego w nowy las trzeba zawsze wejść z jakimś tubylcem. Taki wie, gdzie szukać grzybów. On nie lubi zbiorowych grzybobrań, tych krzyków: „Mam! Znalazłam! Ale piękny!”. Ale czasami zdarza mu się pójść w zarośla z przyjaciółmi czy znajomymi. Bywa, że celowo omija jakiegoś grzyba, żeby potem usłyszeć: „Piechociński nie zauważył, a ja znalazłem!”.

Rekord grzybobrania to było 86 kilogramów surowego prawdziwka zebranego pod Bielskiem Podlaskim. Nic nie zapowiadało takiego sukcesu. Była susza, chociaż kilka dni wcześniej przeszły nad tym terenem burze. Wziął 20-litrowe wiaderko i poszedł w las. W starym, sosnowym, niewiele znalazł, więc może przy torfowisku? Kilka szarych kozłarzy. Dalej był zagajnik sosnowo-brzozowy. A tam same prawdziwki. Wracał w to miejsce

z cztery razy. Miał tyle grzybów, że pakował do wiaderka same kapelusze, bo szkoda było miejsca na nożki.

Dzisiaj grzyby rozdaje - surowe, świeżo zebrane. Kiedyś robił znajomym prezenty w postaci słoiczków z grzybami marynowanymi, ale, jak przyznaje, żona się zbuntowała. „Moje ręce, moje paznokcie, moje słoiki, mój czas i moja cierpliwość. Basta!”. Musiał jej wcześniej grzyby obrać, przygotować, ale i tak miała dość. Dziś obdarowywani sami muszą grzyby obrać.

- Najbardziej lubię pierogi z kapustą i grzybami, rydze z patelni, które zawsze przyrządzam z przyjacielem. Lubię zbierać grzyby, ale mówiąc szczerze, wielkim fanem grzybowych dań nie jestem - przyznaje wiceminister.

Mimo tego, chodzi i zbiera. A czasami człowiek przemierza wiele kilometrów, umorduje się

i nic, nawet małego maślaka, o prawdziwku nie mówiąc.

- Czemu ludzi ciągnie do lasu? Co takiego jest w tym zbieraniu grzybów? - dopytuje.

- A dlaczego mój szwagier potrafi przesiedzieć nad Wisłą 16 godzin, wrócić do domu przemarznięty i opowiadać, że miał cztery brania? - wzrusza ramionami Piechociński. - Pasja i tyle - dodaje.

Chociaż przyznaje, że zbieranie grzybów to jedyna czynność, przy której tak się koncentruje, tak skupia na szukaniu, że nie myśli o niczym innym. Kiedy był ministrem, biegł do lasu przed godziną piątą, bo przed godz. 7.00 czekała już na niego ochrona.

- Najgorsze chwile przeżywałem wtedy, kiedy wiedziałem, że są grzyby, a byłem służbowo w jakiejś innej części Polski. Miałem wtedy świadomość, że mój rywal w zbieraniu, pewien eme-

ryt, wybiera mi wszystkie grzyby - śmieje się były minister gospodarki. W tym roku też biega po zagajnikach. Szuka.

Dla grzybów i kontaktu z naturą

Mówi się, że chodzenie na grzyby to sport narodowy Polaków. Ale też, według Lasów Państwowych, co roku grzybiarze zbierają łącznie około 100 tys. ton grzybów. W ostatnim czasie portal Rankomat.pl przeprowadził badanie, które pokazało, że 38 proc. z nas nie chodzi po lasach w poszukiwaniu prawdziwków, borowików czy maślaków - 62 proc. Polaków deklaruje, że zbiera grzyby.

Ci, którzy wybierają się na grzybobranie, robią to przede wszystkim dla samych grzybów - tak odpowiedziało 68 proc. ankietowanych. Dla wielu jest to także okazja do kontaktu z naturą (64 proc.) i spędzenia czasu na świeżym powietrzu (54 proc.). Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 proc. podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję. Tylko 5 proc. osób przyznaje, że grzybobranie jest dla nich źródłem zarobku.

Ci, którzy grzybów nie zbierają, boją się zjedzenia trujących okazów - taki powód niechodzenia do lasu podało 37 proc. osób; 21 proc. przyznało wprost, że boi się zatrucia, a 25 proc. nie cierpi papająków i kleszczy.

Jeszcze inni boją się zgubienia w lesie, spotkania dzikich zwierząt, postrzelenia przez myśliwych. 3 proc. ankietowanych nie chce pobrudzić lub zniszczyć ubrania.

Z kolei w badaniu agencji SW Research dla „Wprost” 21,2 proc. osób stwierdziło, że często zbiera w sezonie grzyby, 50,2 proc. zbiera je czasami, a 28,6 respondentów twierdzi, że za grzybami po lasach nie biega.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale nie wszędzie grzyby są tak dostępne, jak w Polsce. W wielu krajach obowiązują ograniczenia w ich zbieraniu. Zbiór wymaga płatnej licencji, bez której grożą surowe kary finansowe.

I tu Polacy stanęli murem za grzybiarzami, bo opinie na temat tego typu przepisów są podobne – niezależnie od tego, czy ktoś grzyby zbiera, czy nie. Uczestnicy badania przeprowadzonego przez Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna dla Wirtualnej Polski w zdecydowanej większości (84 proc. badanych) są przeciwni wprowadzeniu ograniczeń wagowych zbierania grzybów na własny użytek. W tym ponad połowa respondentów (54 proc.) jest „zdecydowanie” pewna, że nie wolno ograniczać polskich grzybiarzy, a 30 proc. uznaje, że „raczej” nie powinno się określać granicy wagowej zbiorów.

Tylko 9 proc. respondentów uznaje, że konieczne są regulacje w tej kwestii. 7 proc. badanych nie ma zdania na ten temat.

Dla bigosu i bitek

Wojciech Kowalczyk to były świetny piłkarz, reprezentant Polski, srebrny medalista olimpijski z Barcelony, a dzisiaj, po zakończeniu sportowej kariery, ekspert piłkarski.

– Byłem świetnym piłkarzem, teraz jestem świetnym grzybiarzem – śmieje się na początku naszej rozmowy.

Właśnie, bo Kowalczyk słynie w sportowym środowisku z zamiłowania do zbierania grzybów. On też, jak Janusz Piechociński, po lasach biegał od dzieciaka. – Mój wuj był sołtysiem w małej wiosce Koziołek koło Warki. W czasie wakacji jeździliśmy tam całą rodziną i razem z dziadkiem czy tatą chodziliśmy po lasach – wspomina.

Wuj, sołtys, miał wszystko: truskawki, ogórki, owoce, ale oni szukali grzybów.

– Nauczyłem się wtedy dwóch rzeczy: spać w stodole na sianie i zbierać grzyby. W stodole na sianie spało się dlatego, żeby rano, wychodząc do lasu, nie zbudzić domowników – tłumaczy Kowalczyk.

W tym roku był już kilka razy na grzybach, trochę nazbierał, ale szału nie ma. Nie było deszczu, sucho. Jak każdy grzybiarz ma swoje ulubione miejsca.

– W lipcu i sierpniu grzybów nie zbieram, są najczęściej robaczywe. Dla mnie sezon zaczyna się we wrześniu – mówi.

Najczęściej jeździ w okolice Przasnysza i Szczytna, bo ponoć nigdzie nie ma takich lasów. Tam zbiera pierwsze, najlepsze grzyby, głównie prawdziwki. Ale są też Warka, Wilga, Grabów nad Pilicą.

Jego rekord? W Wielbarku, jakieś 15 lat temu, zebrał dwa kosze czerwonych kozaków. Żadnego innego grzyba – same czerwone kozaki.



FOT. MARIUSZ KAPALA

Prawdziwek, czyli borowik szlachetny, to najbardziej pożądany grzyb w polskich lasach. Ale są też miłośnicy rydzów, kurek czy maślaków

Wyjeżdża na grzyby bardzo wcześniej, właściwie wchodzi do lasu, kiedy świta. Śmieje się z kolegami, że muszą uprzedzić miejscowych kolarzy.

– A kto to taki? – dopytuje.

– Miejscowi, którzy jeżdżą na rowerach i zbierają przy drodze najlepsze okazy – tłumaczy. – Więc wjeżdżam wcześniej, bo raz, że nie ma wtedy korków, a dwa, włącza mi się duch rywalizacji – dodaje.

Ale przed wejściem do lasu zawsze zapali papierosa, zje kanapkę, napije się ciepłej herbaty czy kawy z termosu i dopiero wtedy rusza w zarośla.

– Czemu Polacy tak lubią zbierać grzyby? – pytam.

– Myślę, że z wielu powodów, ale nie bez znaczenia jest tu polska kuchnia, w niej bez suszonych grzybów ani rusz – tak odpowiada. W każdym razie on nie wyobraża sobie bigosu czy wołowych bitek bez grzybków.

Jest fanem tych suszonych, ale niektóre marynuje, część przegotowuje i mrozi. Stoiczki z marynowanymi kapeluszami rozdaje sąsiadom.

– Dla mnie najważniejsze jest chyba samo chodzenie po lesie, kontakt z naturą. Grzyby to taki dodatkowy bonus – mówi.

Dla zdrowia i wyciszenia

Lekarze i psychologowie są zgodni: ruszać do lasu! Zbieranie grzybów dobrze wpływa na nas i nasze samopoczucie. Spacerowanie po lesie, schylanie się po grzyby wzmacnia nasz układ krążenia. Kontakt z naturą, zapach lasu uspokaja, obniża ciśnienie krwi i poziom stresu.

– Żyjemy w rzeczywistości, w której panuje szum informacyjny, jesteśmy przebudzowani, a grzybobranie to taka

ucieczka od codzienności, forma odreagowania. Znacznie lepsza niż butelka wina wypita wieczorem – mówiła mi swego czasu psycholog Maria Rotkiel.

Poza tym, w każdym z nas siedzi gdzieś głęboko atawistyczny instynkt zbieracza. Ludzie zawsze zbierali jedzenie, bo to daje im poczucie bezpieczeństwa. Kiedy zbieramy grzyby ze znajomymi, czasami licytujemy się, więc jest w tym wszystkim także element rywalizacji, ale to nie on dominuje.

– Myślę, że zbieranie grzybów jest dzisiaj tak modne, bo jest formą wyciszenia, podczas którego na dodatek obcujemy z naturą. Sama uwielbiam chodzić na grzyby – przyznała Rotkiel.

Tym bardziej że grzyby po prostu są. Występują we wszystkich strefach klimatycznych, przede wszystkim na łąkach, ale także w wodach – i tych słodkich, i tych słonych. Do tej pory opisano około 70 tysięcy gatunków grzybów, ale ta liczba może być większa. Jak można wyczytać w Wikipedii, pierwszy grzybami zainteresował się Teofrast – grecki uczony, filozof, uczeń i przyjaciel Arystotelesa, który zaliczył je do roślin pozbawionych korzeni. Nie potrafił więc określić sposobu, w jaki się żywią. W epoce rzymskiej badania nad grzybami nie posunęły się naprzód. Rzymianie szczególnie znaczenie przypisywali trufiom. Wierzyli, że te powstają od uderzeń błyskawic, które przekazują im moc niezbędną do kreacji życia – stąd trufle były stosowane jako środek wspomagający zajście w ciążę. Kult grzybów powszechny był wśród Majów i Azteków, z kolei w Indiach grzyby uważano za symbol płodności. Po raz pierwszy

zarodniki grzybów zaobserwował w 1588 roku włoski uczony, wynalazca, lekarz i literat Giambattista della Porta, ale przez kolejne dwieście lat wciąż dominował pogląd o spontanicznym powstawaniu grzybów. W XVII, XVIII i XIX wieku zainteresowanie grzybami rosło – wielu badaczy systematycznie opisywało kolejne odkryte ich gatunki, często zresztą jeden gatunek pojawiał się kilkakrotnie pod różnymi nazwami. Dopiero Pier Andrea Saccardo, włoski mykolog i botanik, dokonał klasyfikacji grzybów, porządkując wszystko to, o czym donosili jego poprzednicy.

Wspomniany już wyżej Janusz Piechociński napisał na Twitterze: „W polskich lasach występuje 1,4 tys. gatunków grzybów jadalnych, choć tylko 47 z nich jest dopuszczonych do obrotu produkcji przetworów grzybnych. Przeciętny Polak rozpoznaje 15 gatunków grzybów, a wytrawny grzybiarz około 40 gatunków”.

Dla bycia razem

Anna Wyszykowska mówi, że rozpoznaje z 20 gatunków, ale od dziecka jeździła z rodzicami na grzybobrania. Przychodziło późne lato, jesień – w sobotę pakowali się w czworkę do starego, wysłużonego „malucha” (oprócz rodziców jeszcze brat) i jechali do lasu.

– To był swego rodzaju rytuał. Jeździliśmy w jurę krakowsko-częstochowską. Tata miał tam swoje ulubione miejsca, zawsze pełne grzybów. Wyruszaliśmy bladym świtem, wracaliśmy na obiad, który mama zawsze przygotowywała dzień wcześniej – opowiada Anna, dzisiaj bizneswomen.

Pamięta, że w lesie mieli trzymać się rodziców, chociaż zdarzało im się zgubić; na szczęście całą czwórką, tata zawsze jednak znajdował wtedy drogę powrotną. Nauczył ją, że trzeba szukać słupów z liniami wysokiego napięcia, bo one doprowadzą człowieka do drogi albo jakiejś miejscowości.

– To były wspaniałe wyprawy. Lubiliśmy je z bratem. Poznaliśmy grzyby, zresztą te zebrane przez nas zawsze przeglądali rodzice. Podczas tych wypraw sporo rozmawialiśmy ze sobą. Tata opowiadał nam o drzewach, przyrodzie, to były niesamowite lekcje biologii – wspomina Anna. Pamięta radość z każdego znalezionego grzyba, te kapelusze wystające z mchu, śpiew ptaków. I powroty do domu. Byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Mama obierała potem te grzyby godzinami. Część suszyła, ale robiła też słoiki. Nos wykrecało, bo po całym domu niósł się wtedy zapach octu, którego do dziś nienawidzi.

– Na studiach jakoś przeszła mi pasja zbierania grzybów, ale kiedy założyłam własną rodzinę, z przyjemnością do starych nawyków wróciłam. Na szczęście mąż też uwielbia wycieczki po lesie – śmieje się. Jeżdżą na grzyby od września, w każdy weekend, jeśli nie wyskoczy coś nieprzewidzianego. Uwielbiają to. Postanowiła połączyć rodzinne grzybobrania z piknikami. Zawsze bierze do samochodu jakieś smakołyki, koc, zawsze robią sobie w lesie dłuższą przerwę, żeby posiedzieć i pogadać.

– Niezwykle dużo dają mi te nasze grzybowe wyprawy. Bardzo ciężko z mężem pracujemy, dzieci oprócz szkoły mają sporo

dodatkowych zajęć. A to jest czas, który spędzamy razem. Poza tym, wyłączam wtedy głowę. Nie myślę o papierach, kontrahentach, o problemach, po prostu wypatruję prawdziwków, podgrzybków, maślaków – wylicza. No i jest wśród natury, gdyż ogródek przed domem to zdecydowanie nie to samo.

Dla bezpieczeństwa

Fachowcy radzą jednak, aby nie popadać w amok grzybobrania.

– Jeżeli nie znamy grzybów, to ich nie zbieramy, bo tak jest dla nas bezpieczniej, ponieważ grzyby jadalne mają swoje odpowiedniki, które są trujące. W związku z tym lepiej nie popełnić błędu i zbierać te, których jesteśmy pewni – mówił w rozmowie z TVN24 Paweł Bukowski z Nadleśnictwa Kolbudy w województwie pomorskim.

W razie wątpliwości można udać się do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. – Można skorzystać jeszcze z różnych pomocy naukowych czy też z aplikacji, atlasów grzybowych czy też z wydań papierowych atlasów, a być może z porady osób starszych, które już dłużej są na grzybach i mają większą wiedzę od nas. A jeśli rzeczywiście chcemy poznać nowego grzyba, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby go dostarczyć do stacji sanitarno-epidemiologicznej, podpytać fachowców. Tam nam powiedzą więcej – tłumaczył leśnik.

Początkujący grzybiarze powinni raczej zbierać grzyby rurkowe niż blaszkowe. Jeśli jednak po ich spożyciu poczujemy się źle – będziemy mieli nudności, wymioty, gorączkę – trzeba niezwłocznie zgłosić się do lekarza.

Kolejna sprawa: rozeznanie terenu. Przed samym rozpoczęciem zbierania grzybów zorientujemy się, w jakim miejscu jesteśmy, skąd przyszliśmy. Obserwujemy Słońce, jeśli jest widoczne, i teren, po którym się poruszamy. W lesie są linie oddziałowe, drogi, kamienie graniczne czy słupy energetyczne, często ponumerowane. One mogą posłużyć za punkty odniesienia.

I wreszcie – zabezpieczmy się przed kleszczami.

Jacek w końcu zapełnił lodówkę, wyszorował podłogi i w sobotę pojechał na grzyby. Ruszył pod Siedlce. Zna te lasy. W niedzielę chwycił koszyk i pognął do zagajnika za domem. Zbiór może nie powalał z nóg, ale zrobił przepyszny sos z maślaków i dwa słoiczki marynowanych podgrzybków.

– Niech jeździ! – pacha ręką Marta. I wylicza plusy: trochę pochodził po lesie, był na świeżym powietrzu, odstresował się, wyciszył, a te kilka tysięcy kroków też mu wyjdzie na zdrowie. I będzie miał o czym gadać z kolegami, bo wszyscy to zapaleni grzybiarze.

Ulica 10 Maja w Głogowie. Ba. Uliczka. 232 metrów długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Tak mówi ostatni raport demograficzny z 21 grudnia 2024 roku.

Po jednej i drugiej stronie domy pamiętające czasy przedwojennego Głogau: wolnostojące, bliźniaki, ale jest też kilka, w których na każdym piętrze mieszka inna rodzina: niekiedy dwie, niekiedy trzy. Domki ładne, zadbane. Każdy z ogrodem. Sporym: trawnikami, drzewami ozdobnymi i owocowymi („Czereśnie są przepyszne – szpaki zlatują się do nich z całej okolicy” – uśmiecha się pani Eugenia Rudkiewicz spod jedenastki, której czereśnia w tym roku bardzo obrodziła).

Ta mała droga łączy spokojniejszą ulicę Fryderyka Chopina, z ruchliwszą ulicą Tadeusza Kościuszki, przy której stoi miejski szpital.

już po przejściu miasta przez Polaków – opowiada Andrzej Ruebenbauer, który przy 10 Maja mieszka od urodzenia, w domu pod numerem pięć.

- Jak to się stało? – dopytuję.
- Nie wiem, ile w tym prawdy, a ile legendy, ale opowiem: działo się to 10 maja, w dniu uroczystym, kiedy burmistrz Hoinka otrzymał symboliczne klucze do miasta od dowódcy wojsk radzieckich, tych wojsk, które wyzwoliły Głogów. Uroczystość była w ruinach Starego Miasta. I burmistrz Hoinka, w dowód wdzięczności, sprowadził z pobliskiej Kotli całą cysternę bimbru, i podarował ją radzieckim żołnierzom. A Ruscy, jak popili, to strzelali na oślep, a na koniec zabawy podpalili ten jeden, nieszczęsny dom na naszej ulicy – wspomina.

Do 1945 roku przy dzisiejszej 10 Maja mieszkali urzędnicy, rzemieślnicy, kupcy.

Niemiecka pościel leżała jeszcze na łóżku

Jednymi z pierwszych, którzy zamieszkali przy 10 Maja, była rodzina Andrzeja Ruebenbauera.

- Odkąd pamiętam, żyliśmy z innymi sąsiadami z ulicy jak w jednej, wielkiej rodzinie – uśmiecha się pan Andrzej.

Był nauczycielem w szkole samochodowej. Ale tylko do sierpnia. Przez wszystkie lata pracy wykształcił w Głogowie setki mechaników – można więc powiedzieć, że każde auto w mieście widziało się kiedyś z jego absolwentem. Ale teraz koniec – zdrowie na dłużej nie pozwala.

Jego rodzice, kiedy wprowadzili się pod piątkę, wspominali, że „jeszcze pościel leżała na łóżkach”. Niemcy zostawili wszystko to, czego nie mogli zabrać: mebli, ale też innych rzeczy codziennego użytku.

sną 1939 roku urodziło się siódme (...) Po drugiej stronie domu mieliśmy duży ogród. Uprawiane były na nim różne warzywa. Była też stajenka dla naszej Kariny (...)

Andrzej Ruebenbauer wspomina: - Mój ojciec – przedwojenny oficer Wojska Polskiego, był z Poznańskiego, ale do Głogowa przyjechał wprost z obozu pracy na Węgrzech, w którym był w czasie wojny. W Głogowie został kierownikiem urzędu, który zajmował się osiedlaniem repatriantów. Miał wykształcenie rolnicze, potem pracował więc aż do śmierci w głogowskiej cukrowni. Mama zajmowała się domem. Ja urodziłem się już tutaj, w Głogowie, i od dziecka mieszkam na 10 Maja. Całe życie tu spędziłem, patrzyłem, jak ta nasza ulica się zmienia. Do lat 70. było tu tak, jak tuż po wojnie. Potem niektórzy starszy sąsiedzi zaczęli umierać, ich dzieci powyjeżdżały, pojawili

sprowadzali się w ostatnich latach starsi ludzie – dla wygody, bo nie ma schodów. Są też nowi sąsiedzi, młodzi, z dziećmi – jak Bogumiła Szlifierz spod trójki (wcześniej przez całe lata w jej domu mieszkał autor książki „Mieszkam koło szpitala...” – Wiesław Maciuszczak).

Ten dzień to wielkie święto sąsiedztwa, dobrego sąsiedztwa

Pani Bogusia zaprasza nas do mieszkania.

- Ostrożnie, na samą górę, niech pan uważa, bo schody stare, drewniane, strome – ostrzega. Siadamy przy kuchennym stole, pani Bogusia parzy herbatę, na paterze lądują trzy rodzaje ciasta.

- Bogusia jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale ile ona dla nas i dla ulicy dobrego zrobiła! To ona

tekst *Robert Migdał* Dziennikarz „Gazety Wrocławskiej”, reportażysta, autor wielu książek i wywiadów



JEDNEGO SĄSIADA BRAKUJE. NO ALE ON MA KRASNALE W OGRODZIE I WIELKIE NOŻYCE NA ŚCIANIE, WIĘC Z NIM NIGDY NIE WIADOMO, PEWNIENIE KIEDYŚ SIĘ PRZEŁAMIE

Nie pierwszego, nie trzeciego, ale dziesiątego. Dlaczego?

Ulica 10 Maja. Dziwna nazwa. Skąd się wzięła? Tak to wyjaśnia w swojej książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, historyk, były mieszkaniec tej ulicy: „Zaproponował ją – w 1945 roku – Adam Królak, jeden z nowych mieszkańców Głogowa, bo tego dnia niemiecki Glogau stał się polskim Głogowem. Nazwa jest więc na pamiątkę przekazania władzy cywilnej w mieście polskiemu burmistrzowi”.

A burmistrz Eugeniusz Hoinka zapisał we wspomnieniach: „10 Maja 1945 roku, o godzinie 10.30 w imieniu władz polskich przejąłem miasto wraz z resztą ludności niemieckiej oraz rannymi jeńcami niemieckimi”.

Domy przy wtedy jeszcze Herderstrasse, nazwanej tak na cześć niemieckiego pisarza Johanna Herdera, przetrwały oblężenie Głogowa – Twierdzy Głogów, czyli Festung Glogau – zimą 1945 roku. W większości nienaruszone.

- Jedyny dom na ulicy został zniszczony nie w czasie Festung Glogau, ale

„Każdy dom posiadał od ulicy kwietnik, na niektórych posadzono ozdobne drzewa. Potężne modrzewie i świerki rosły do niedawna przed nr 2, 8 i 9, a przed nr 3 – okazała czereśnia. Za budynkami z obu stron urządzono ogrody warzywne. Rosły tam również drzewa i krzewy owocowe. W komórkach i w specjalnych budowlach, hodowane były zwierzęta. Niektóre mieszkania centralnie ogrzewane, inne były ogrzewane piecami kaflowymi. Wszędzie były toalety i łazienki. Doprowadzona energia elektryczna. Nie było tu jeszcze gazu” – czytamy opis niemieckich domostw w czterostronicowym wydawnictwie okolicznościowym zatytułowanym „Wehikuł czasu” (odbitka na ksero, na zwykłym papierze – ale w kolorze. Skarbnica wiedzy – w pigułce – o historii ulicy).

Tuż po tym, jak Głogów stał się polskim miastem, „co odważniejsi osadnicy zaczęli zajmować domki willowe, remontowali je na własną rękę (...) Część budynków oddano do dyspozycji instytucjom i urzędowi, by zapewnić mieszkania niezbędnym dla miasta fachowcom” – to kolejny opis ze wspomnianej wyżej broszurki.

- W moim domu mieszkali za Niemca dwaj bracia z żonami i dziećmi. Jeden na górze, drugi na dole. Przedsiębiorcy: jeden z nich miał odlewnię żeliwa i nawet są jeszcze w mieście studzienki ściekowe, na których jest napisane „Glogau” – to on je zrobił. Drugi prowadził fabrykę kafla na piec. Mam piec z tymi kaflami do dzisiaj. Nie zdemontowałem przez tyle lat, bo jest ładny – został tylko na pamiątkę, bo ogrzewanie mam już gazowe – wspomina Ruebenbauer.

Jedną z dawnych mieszkanek przedwojennej ulicy 10 Maja, która po latach odwiedziła miejsce swojego dzieciństwa, była Dorotea Voigt de Vara. Przyjechała na spotkanie do swojego Głogau w 2018 roku. I jak pisze w książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, „podzieliła się okrucami pamięci”:

„Dom przy ulicy Herderstrasse 10 w Głogau zbudowany został w 1938 roku (...) Mój ojciec, Karl Voigt, był dyrektorem banku. Wprowadziliśmy się do mieszkania najprawdopodobniej w tym albo w następnym roku (1939). Rodzice mieli sześcioro dzieci, a wio-

się nowi lokatorzy. Remontowali domy, przerabiali je po swojemu. Ja swojego do dzisiaj nie ociepiłem styropianem, wolę, by wyglądał tak, jak po wojnie.

Mieszkańcy cenią sobie spokój („niby w mieście, a jak na wsi”) i że wszędzie jest blisko („i szpital za rogiem, kościoły, autobus niedaleko”).

- No i zakład pogrzebowy mamy na naszej ulicy, najstarszy w całym mieście, bo jeszcze w latach 50. ojciec obecnego właściciela miał zakład stolarski i meble produkował. Meble i... trumny. Coś dla żyjących i coś dla tych, co odeszli – kiwa głową pan Andrzej.

Pokazuje dom naprzeciwko. - O, tu umarła nasza wieloletnia sąsiadka, córka odziedziczyła, sprzedała i poszła sobie gdzieś pod Warszawę. Niektórzy nie chcą w tych starych domach mieszkać, wolą nowe bloki. Nie patrzą na to, że dom to nie tylko cztery ściany, że też otoczenie, ludzie, koło których się żyje i z którymi się żyje. Dla mnie to wielka wartość. Ja bym się z 10 Maja nie wyprowadził – zaklina się Ruebenbauer.

Ulica się zmienia, ale jej puls wciąż mocno bije. Na partery domów po-

wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Ruebenbauer.

Bogumiła Szlifierz uśmiecha się skromnie pod nosem, nakłada na talerzyki babkę piaskową oraz ciasto z kremem i owocami. Krem znakomity, a babką, choć ma rodzinę, też się częstuje. Gdy chwałę wypieki, mówi: - Sama nie piekłam, to kupne, ale ze sprawdzonej cukierni.

A potem zaczyna opowiadać.

- Gdy się tu wprowadziłam, zastanawiałam się, dlaczego ta ulica ma taką nazwę. No i kto tu mieszka, kim są moi sąsiedzi, co robią, jakie mają pasje? Chciałam poznać ich historie, historie ich rodzin, historie poprzednich lokatorów.

- Po co? – pytam, może trochę zbyt obcesowo.

- Zaciekała mnie przeszłość tego miejsca. Zaczęłam pytać – najpierw najbliższych sąsiadów, potem tych dalszych: jak to było kiedyś. I wtedy wpadłam na pomysł, żeby zebrać wszystkich i usiąść z nimi przy jednym stole. Wielkim stole, ustawionym na środku ulicy! I porozmawiać, powspominać. Chciałam, żeby moi sąsiedzi wyszli

z domów, żeby się otworzyli bardziej jeden na drugiego, żeby każdy opowiedział, co go trapi, boli, co mu się podoba, a co nie. Żeby wyciągnąć starszych mieszkańców z ich czterech ścian, z samotności. I zintegrować tych starszych z młodszymi.

Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna.

Taki był finał wielomiesięcznych przygotowań. Najpierw pani Bogusia sama chodziła od domu do domu, pytając, czy zgadzają się na świętowanie imienin ulicy i co sądzą o tym pomysłe („Tym, których nie zastałam w domu, wrzucałam kartkę z informacją do skrzynki pocztowej” – wspomina). Potem zorganizowała spotkanie mieszkańców – przyszli prawie wszyscy (zabrakło jednego sąsiada). Gdy jednogłośnie przyjęto jej pomysł, ruszyła lawina pism (zgoda na zamknięcie ulicy od miasta, wysyłanie zaproszeń – do byłych i obecnych mieszkańców, do proboszcza, do radnych, prezydenta). Gdy uporała się z papierami – poszło jak z płatka. Nie obejrzała się i był maj. Ulica zamknięta, na środku stoły przykryte – elegancko – obrusami.

Stoły i krzesła wyciągnęli ze swoich domów, wszyscy pomagali nosić. Na nich wyładować imieninowy tort, obok – ciasta i soki, żadnego alkoholu. Kwiaty w doniczkach.

Imieniny można zacząć, jeszcze tylko ostatni sznyt. Pani Bogusia wie, że kolorowe trójkątki na płotach („wcześniej były balony, ale powiem, że z nich schodziły i wyglądało to źle”), pilnuje dostawy stołów i żeby były obrusami przykryte (ma być elegancko!).

I tak już jest każdego roku. Zawsze w maju. Zawsze dziesiątego.

Atmosfera jest rodzinna. Są chwile wzruszenia („kiedy wspominamy tych, których już z nami nie ma”) i łyż radości („kiedy się spotkamy z kolegami, sąsiadami, przyjaciółmi niewidzianymi od lat”). Ale też i śmiech: „kiedy opowiadamy sobie historie sprzed lat – jak tę tragiczno-śmieszną, kiedy jeden z sąsiadów wyskoczył przez okno, ale się nie zabił, bo spadł na drzewo owocowe pod oknem i gałęzie zamortyzowały upadek”) – słucham coraz dziwniejszej opowieści.

- I co z nim teraz?

- Dawno się wyprowadził, mieszka na drugim końcu Polski, w Lublinie, ale często odwiedza Głogów. Przyjeżdża do nas na 10 Maja.

- Wspominamy też dawnych mieszkańców ulicy, opowiadamy tym, którzy tu teraz mieszkają – kim byli ich sąsiedzi, kto wcześniej mieszkał w ich domach. To ważne, bo pamięć bywa ulotna – mówią zgodnie i dodają: - Te spotkania są budujące. Dodają nam jakiejś takiej energii na cały rok. I chyba po każdym bardziej się z sąsiadami lubimy, choć wydaje się, że bardziej się już lubić nie da.

Ludziom spodobała się taka forma integracji. - Głogowianie zaczepiają mnie na ulicy: „Pani Bogusiu, czy na pewno w przyszłym roku będzie to święto na ulicy?”. Więc chyba im się podoba – mówi pani Bogusia.

Organizuje imieniny od początku do końca. Dbą o wszystko, począwszy od stołów, poprzez catering, na ulicznym grajku skończywszy. Organizacja takiej imprezy to koszty, ale...

- Znalazłam sposób – uśmiecha się pani Bogusia. - Napisałam projekt, żeby otrzymać pieniądze z budżetu obywatelskiego. Spodobał się w całym Głogowie. Nawet ludzie z innych części miasta głosowali na nasz pomysł. I dostaliśmy pieniądze. I w tym roku też składamy wniosek do budżetu – dodaje. Sama chodzi od domu do domu, zbiera podpisy.

- Wieczorem zmęczenie jest ogromne, ale i satysfakcję trudno opisać. To jest taka radość w sercu: że ludzie przychodzą, że się im podoba – mówi pani Bogusia.

Mieszkańcy ulicy, głos zbiorowy, niczym chór: - Doceniamy bardzo to, co Bogusia robi dla nas. Że nas tak integruje. Że dzięki niej bycie sąsiadem to nie jakieś slogany. Że to ma wartość. Że dzięki niej nie dzielimy się tylko pomidorami, które nam na działce obrodziły, ale swoim życiem – radościami, problemami. Te rozmowy są bezcenne. Budują wspólnotę. Taką naszą, maleńką, na jednej ulicy – dodają.

Wspólnota nie składa się na organizację imienin – każdy, kto przychodzi, przynosi coś ze sobą: czy to ciasteczka, czy ciasto upieczone, może być też kupione, ktoś zrobi herbatę, ktoś inny przyniesie kawę, kolejny wodę. Jak u cioci na imieninach.

Świętują i obecni mieszkańcy ulicy, i dawni, którzy zjeżdżają tego dnia choćby z Zielonej Góry, Lublina czy Wrocławia, przychodzą też osoby z pobliskich ulic i z najdalszych zakątków Głogowa. Przy jednym stole siedzą i dzieci, i dorośli, w tym historycy – ciekawi wspomnień mieszkańców. Nie może zabraknąć prezydenta Głogowa.

Jest jak w domu, młodszy usługujący starszym, a to kawę przyniosą, a to cukier podadzą.

- Nigdy nie było problemu, żeby jedna sąsiadka drugiej cukru pożyczyla, nawet jak była komuna. A sąsiad coś mocniejszego, gdy zabrakło w domu, a goście na progu – śmieją się mieszkańcy.

Andrzej Ruebenbauer zastanawia się chwilę: - Pamiętam jeszcze, jak w czasach PRL co sobotę była taka sąsiadzka tradycja na ul. 10 Maja: do mojej matki schodziły się sąsiadki, znosiły wszystkie potrzebne produkty, kto co miał w domu: mąkę, jajka, owoce, cukier i wspólnie piekły ciasta. Jak pachniało w całym domu!

- A czemu u was w domu odbywało się pieczenie?

- Bo nie wszystkie panie potrafiły upiec, a moja mama tak. Uczyla je, pokazywała, co i jak, skończyła szkołę gastronomiczną.

Pani Bogusia dalej: - Chciałam, żeby na tych symbolicznych imieninach ludzie się nie tylko spotkali, zjedli i powspominali. Ale też, żeby to był taki moment pojednania, jeśli ja czyś sąsiedzi są skłóceni ze sobą, to żeby podali sobie ręce na zgodę.

- Czyli nie tylko sielanka? - dopytuję.

- Mamy sąsiadów innej wiary, która nie pozwala im obchodzić imienin, urodzin i wspólnie świętować. Bo to ich zdaniem pogańskie zwyczaje. Ale szanują naszą nową, sąsiadzką tradycję, nie protestują, że ulica jest zamykana, a pod ich oknami ludzie imprezują. Dobrzy ludzie, spokojni sąsiedzi. Mają swoje



Rok 1959. Atmosfera na ul. 10 Maja nie zmieniła się przez dekady

zasady. My to szanujemy, choć integrować się w ten sposób z nami nie chcą. No i jest jeszcze jeden sąsiad na ulicy, który nikogo nie lubi.

- A jednak – nie chciałem, żeby to źle zabrzmiało, choć chyba tak właśnie zabrzmiało.

- I on nie chce mieć z nami, swoim sąsiadami, niczego wspólnego. Nic mu się nie podoba, niczego nie chce. Ale co roku liczymy na cud. Każdego roku go zapraszamy do wspólnego stołu, do wspólnego świętowania, do poznania się bliżej. Może kiedyś się przełamie, może kiedyś do nas wyjdzie.

Sąsiad, który nikogo nie lubi? Na ulicy, gdzie lubią się wszyscy? Idę do niego, ryzyk-fizyk, najwyższej przeklnie mnie albo wyśmiej, że zachwyam się 10 Mają.

Mały, zadbane dom. Równie przystrojony żywoplot, który zastraszania ogród za domem przed oczami ciekawskich („On tam poustawiał mnóstwo krasnali ogrodowych, takich gipsowych, kolorowych” – opowiadają jego sąsiedzi).

Przed domem – na ścianie pozwieszane podkowy i wielkie, metalowe nożyce. Przy jednym z okien dziwna konstrukcja z dwóch lusterek: jedno skierowane na ulicę, obok drugie, które przechwytuje odbicie z pierwszego i w którym właściciel domu (nie pokazując się odwiedzającym) może zobaczyć, kto do niego przyszedł.



Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna

Przy płocie – dwie tabliczki „Uwaga! Zły pies”, choć nie słychać żadnego szczekania, gdy podchodzę przed furtkę.

Zanim naciśnie dzwonek, muszę odgarnąć pajęczyny. Widać, że rzadko ktoś korzysta z przycisku. Dzwonię. Cisza. Nikt nie wychodzi. Nie reaguje. Przychodzę pod dom pana Stanisława czterokrotnie, w różnych porach dnia. Bez skutku. Nie ma z nim kontaktu.

- Z nim już tak jest. Nie otwiera nikomu. Samotnik. Kiedyś to jeszcze okno uchylił i rzucił „złym słowem” – mówią mieszkańcy.

- „Złym słowem”?

- No, żeby odejść, ale mówił to w wulgarny sposób... Dziś tylko patrzy przez te swoje lusterka i nikomu nie otwiera.

Szkoda, bo byłbym bardzo ciekawy: Jak postrzega swoich sąsiadów? Dlaczego się od nich izoluje? Czy stoją za tym jakieś niesnaski z przeszłości?

Na ulicy nóżka chodzi

Dla dzieci dzień imienin ulicy to raj. Tego jednego dnia mogą się bawić, bezpiecznie, na środku ulicy. Malować kredą, pograć w piłkę od płotu do płotu, bez obawy, że coś nadjedzie. Jest wesoło.

No, i jak to na imieninach, jest muzyka. Przez lata przychodził profesjonalny muzyk, rozkładał organy elektroniczne i grał. W tym roku był DJ. Kto ma ochotę, może potańczyć na środku

ulicy. - Ludzie czują rytm, podrygują, nóżka im chodzi. I wychodzą na środek ulicy. I tańczą. Cudowny widok – śmieją się mieszkańcy.

Pani Bogusia zapewnia, że te wszystkie zachwyty wcale nie są na potrzeby mediów. - Dowód mam – kładzie na stole ciężką, oprawioną na bordowo, księgę pamiątkową, w której co roku wpisują się goście.

Pani Bogumiła napisała na stronie tytułowej: „Kochani! Z całego serca dziękuję za waszą obecność i udział w obchodach imienin ulicy 10 Maja. Oddaję w wasze ręce tę księgę, w której proszę Was o pamiątkowe wpisy. Każdy będzie na wagę złota”.

Różne kolory długopisu, różne charaktery pisma:

„Wychowałam się na tej ulicy od trzeciego tygodnia życia do dorosłości. Napełniłam beztroską, radością, spokojem i atmosferą wspólnoty sąsiedzkiej. Wyniosłam to w swoje dorosłe życie. Ulico, sąsiedzi, koleżanki – dziękuję”.

„Bardzo się cieszymy, że jesteśmy częścią tej pięknej ulicy i społeczności bardzo życzliwych sąsiadów (...).”

„Świetna inicjatywa dla obecnych i byłych mieszkańców 10 Maja”.

„To fantastyczna sprawa”.

„Pomysł bardzo oryginalny, godny naśladowania i kontynuacji”.

„Superdoskonała wycieczka historyczna po ul. 10 Maja”.

„Dziękuję za zorganizowanie święta mojej ukochanej ulicy 10 Maja. Dziś jestem tu z synem Wojtkiem i wnuczką Olusiem. Moja mama Irena niestety już odeszła...”.

„To możliwość poznania fantastycznych ludzi”.

„Mamy szczęście mieszkać na najpiękniejszej ulicy w Głogowie”.

„Drodzy sąsiedzi. Dziękujemy za wspólne biesiadowanie na naszej pięknej ulicy. To wyjątkowe wydarzenie (...) Niech najmłodszy uczą się od naszych najstarszych tradycji”.

„Ja chodziłam tą ulicą od września 1976 do marca 2008 do pracy do szpitala”.

Dom nr 9. Śliczny, zadbane. Właśnie tu mieszkają Teresa i Lucjan Koch.

Klimatyczne mieszkanie na parterze – na ścianach obrazy biją po oczach soczystymi barwami. W powietrzu czuć farbami pomieszanymi z zapachem roślin złanych deszczem. Intensywny zapach wpada przez otwarte okno.

- Dobrze, że pada. Bo sucho w ogrodzie strasznie.

- Niech pan siada, kurtkę ściągnie, porozmawiamy. O sąsiadach z ulicy? Chętnie i od razu panu powiem, że ludzie z innych części miasta nam zazdroszczą. Tak, tak. Zazdroszczą. Że sąsiedzi mogą tak funkcjonować obok siebie. Na zamkniętych osiedlach, w anonimowych blokach, wieżowcach – ludzie się nie znają. Nie to co u nas... - mówi pani Teresa, malarka.

Jej mąż Lucjan (przez wiele, wiele lat lokalny przedsiębiorca – prowadził m.in. najbardziej znany sklep z ekskluzywnymi ubraniami w mieście) dodaje:

- Ja żyję tu od 1960 roku. Wtedy moi rodzice kupili ten dom. Miałem 20-letnią przerwę po ślubie, ale wróciłem: mama umarła, ojciec został sam. Trzeba było się nim zaopiekować. Mieszkał z nami jeszcze 14 lat.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ulica 10 Maja, kilka lat po wojnie. Dzieci wychowywały się wspólnie

- Dobrze nam tu. Nikt na nikogo krzywo nie patrzy, nikt na nikogo źle nie mówi. Wprowadziło się na naszą ulicę wielu młodych ludzi, to dobrze. To bardzo otwarci sąsiedzi. Otwarte umysły. Świeże. Z jedną z sąsiadek mamy wspólną pasję: rośliny, wymieniamy się nawet sadzonkami. Jak trzeba, to i sąsiadce dziecko można przypilnować, jak w potrzebie jest i musi coś gdzieś szybko załatwić. I sąsiadce, co sama mieszka, w życiu codziennym pomóc, bo dzieci daleko - mówi pani Teresa. Pomoc działa w dwie strony. - Mąż wiele razy prosił któregoś z młodszych sąsiadów o pomoc: żeby przyszedł, coś mu pomógł przenieść.

Nigdy nikt nie odmówił - wspomina Teresa i dodaje: - Uważam, że trzeba być otwartym na drugiego człowieka, empatycznym. To procentuje. Jeśli lubisz ludzi, to ludzie lubią ciebie. Nie ma szans, żeby się nie porozumieć.

- Nie ma problemu, że sąsiad do sąsiada, bez umawiania się z wyprzedzeniem, bez zapowiedzi telefonicznych, wpadnie pogadać, zobaczyć co słycać. I nie ma jakiejś wrogości, dystansu. Mamy najbliższych sąsiadów innej wiary. No i co z tego? Dla nas nie ma to znaczenia. Ważne, jakim jest człowiekiem i sąsiadem - mówi pan Lucjan i dodaje: - Ja mówię mojemu sąsiadowi, co z boku mnie mieszka: „Sąsiad nie jest potrzebny bez przerwy, cały czas. Ale ważne jest to, że jak jest potrzebny, to jest obok. I pomoże”.

- Lucjan i Teresa są bardzo życzliwi, przyciągają ludzi - rzuca przysłuchująca się rozmowie pani Bogusia. - To nasze papużki-nierozłączki. Cudownie na nich patrzeć, jak się wspierają.

- Oj tak, mąż mnie wspiera. Bardzo. Zwłaszcza kiedy jakiś obraz namaluję na ciężkiej płycie i trzeba go przenieść - uśmiecha się Teresa.

Jej obrazy wiszą w całym domu. Piękne. Jedne w ramach, ale głównie bez: samo płótno naciągnięte na ramy.

Kolorowe postaci w różnych pozach i strojach (przeważają kobiety) przyciągają uwagę. Feeria barw. Uderza z nich niesamowita, pozytywna energia. Coś jak połączenie Pabla Picassa i Salvadora Dalego. Ale jednak widać oryginalny styl pani Teresy.

Ulubione obrazy pokazała sąsiadom podczas ostatnich imienin

ulicy. Te ulubione. Porozwieszała je na płocie.

Największą uwagę przyciągał portret kobiety w zielonej sukni. Tajemniczy, z dziwnymi postaciami w tle.

- Dla żony-artystki, która maluje obrazy, to dobre miejsce. Tu może być kreatywna. Może spokojnie tworzyć - mówi Lucjan.

- A ja niekiedy myślę sobie, że nawet tu za cicho jest. Wolałabym, żeby trochę szumu było: żeby dzieciaki biegały po okolicy, trochę hałasowały - dodaje pani Teresa.

Na 10 Maja mieszka sporo osób samotnych, ani dzieci, ani wnuków na miejscu nie mają. Sąsiedzi są bliskimi.

- Wiemy, jak ktoś dłużej choruje, to od razu zakupy zrobimy, po leki ktoś poleci, albo coś innego załatwić. Sąsiad jest cudownym lekiem na samotność - mówią mieszkańcy 10 Maja.

Ponad 80 procent Polaków deklaruje: nie unikamy sąsiadów

„Polacy w ogromnej większości twierdzą, że są otwarci na kontakty sąsiedzkie” - czytamy w telefonie zdanie z badań „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzonych przez Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) i patrzę na reakcję pani Bogusi, która razem ze mną odwiedziła małżeństwo Kochów. Potem podrzucam jeszcze trochę suchych faktów, bo chcę wiedzieć, jak teoria ma się do praktyki: „Ankietowani utrzymują, że nie unikają sąsiadów, nie izolują się od nich (84%), więcej nawet - w miarę możliwości starają się nawiązywać z nimi kontakty, pozdrawiając, zamieniając kilka słów czy rozmawiając z napotkanym sąsiadem (88%). Zdecydowana większość badanych twierdzi, że ma życzliwych, dobrych sąsiadów, na których w razie potrzeby mogliby liczyć (80%). Jednocześnie jednak sąsiedzkie relacje większości Polaków zdają się mieć przede wszystkim konwencjonalny, grzecznościowy charakter, a prawie trzy piąte badanych przyznaje, że w relacjach z sąsiadami starają się postępować tak, by nikt z nich nie miał do nich pretensji, ale trzymają się na dystans (57%).

Pani Bogusia: - Taka wspólnota, jak u nas, jest rzadkością. W wielkich miastach, w blokowiskach jest gorzej. A na zamkniętych osiedlach? Dramat!

Jak sąsiedzi są ze sobą na „dzień dobry” - to już sukces.

- Z perspektywy socjologicznej, dobre relacje sąsiedzkie mają bezpośredni wpływ na kapitał społeczny, zasób oparty na zaufaniu i współpracy, który decyduje o jakości życia, a także o poziomie bezpieczeństwa i solidarności w danej społeczności. Tam, gdzie ludzie się znają, rośnie skłonność do pomagania, spadają poziomy anonimowości i obojętności - wyjaśnia dr Barbara Kilijańska, adiunkt Wydziału Nauk Stosowanych z Uniwersytetu Dolnośląskiego DSW i dodaje: - Relacje sąsiedzkie wymagają zaangażowania, czasu i kultury dialogu. Współczesny styl życia, mobilność, tempo pracy, cyfrowa komunikacja często osłabiają potrzebę nawiązywania kontaktów z osobami „zza ściany”. Warto więc odzyskać świadomość, że sąsiad to nie tylko współlokator budynku, ale potencjalny sojusznik, przyjaciel, czasem nawet „rodzina z wyboru”. Właśnie w tych lokalnych więziach rodzi się realna demokracja i troska o otoczenie.

- Czyli bardzo poważna sprawa, choć rodzi się z prostej życzliwości - zagaduję.

- Gdy panuje życzliwość i wzajemna troska, przestrzeń ta staje się bardziej przyjazna, bezpieczna i estetyczna. Wówczas chętniej się w niej żyje, pracuje i wychowuje dzieci. Coraz częściej mieszkańcy inicjują sąsiedzkie wydarzenia: wspólne święta ulicy, lokalne obchody, pikniki czy spotkania integracyjne na podwórkach i placach. Tego typu inicjatywy sprzyjają nawiązywaniu relacji, ułatwiają rozmowę i przełamują codzienną anonimowość. Niekiedy już samo zorganizowanie prostego spotkania na świeżym powietrzu, staje się okazją do poznania się i zbudowania podstawowego zaufania.

Nie bez znaczenia jest też aspekt wychowawczy, dzieci uczą się postaw społecznych przez obserwację dorosłych. Jeśli widzą, że ich rodzice witają się z sąsiadami, pomagają im i angażują się w życie wspólnoty, wchłaniają te wartości jako coś naturalnego. Tak kształtuje się obywatelskość od podstaw.

Pół wieku temu, jak i teraz

Pani Bogusia mieszka w domu (pod trójką, przypomnijmy), w którym na parterze przez wiele lat żył i przyjmował pacjentów znany głogowski lekarz, chirurg Tadeusz Sulicki (blok operacyjny głogowskiego szpitala nosi jego imię). Już za jego czasów wspólnota międzysąsiedzka na 10 Maja miała się świetnie.

- To był sąsiad! - wspomina pan Andrzej. - Przyjechał do Głogowa w latach 60.

We wtorki i w piątki przyjmował prywatnie: w gabinecie. Ludzi była masa: z całego Głogowa przyjeżdżali, spod Głogowa furmankami, a potem dowody wdzięczności pacjentów biegały po podwórku: kury, gęsi, kaczki.

- Moja mama miała z doktorem taki układ sąsiedzki - przychodził do niej i pytał: „Pani Wando - gąska czy kaczka?”. Bo sam oskubać i ubić nie potrafił. A może nie lubił. I mama jednego ptaka dla doktora oporządzała, a drugi był dla nas - opowiada pan Andrzej i wspomina:

- Doktor to był człowiek wielu pasji. Młodzię lubił. O historii nam opo-

wiadał. Tej prawdziwej, nielegalnej, o Katyniu, o zbrodniach radzieckich. Miał wielkie poszanowanie, posłuch wielki. Nikt nawet nie pomyślał, żeby na niego donieść. A i swoimi pasjami nas, dzieciaków z 10 Maja, zarażał. Co niedziele nas do kina Bolko zabierał na seanse. Filmy o Indianach oglądaliśmy. Pamiętam, że niekiedy w czasie filmu wchodziła na salę bileterka, pani Majewska, i mówiła: „Pan Sulicki proszony do wyjścia. Pilny przypadek. Karetka już czeka przed kinem”.

Jak kupił sobie auto, piękną Warszawę, to pakował dzieciaki z sąsiedztwa do środka i wioził nas nad wodę, na Glinianki na Paulinów. A od sąsiadów za wizyty lekarskie nigdy pieniędzy nie brał. Gdy któryś z sąsiadów chciał mu zapłacić, mówił: „A w dupę mam cię kopnąć?”.

Pan Andrzej dodaje też, jak z zakładu pogrzebowego (był dokładnie vis-a-vis domu chirurga) wychodziła właścicielka i żartowała przez ulicę: „Tadziu, przysłałbyś jakiegoś klienta do mnie, a nie wszystkich tylko bierzysz dla siebie”.

Jak doktor Sulicki po sąsiedzku życie ludzkie ratował. Sam Bross był pod wrażeniem

Czuje, że o doktorze mieszkańcy mówić mogą bez końca.

Obok ul. 10 Maja, ciągnie się ulica Chopina. Mieszkała tam rodzina: matka, ojciec i czwórka dzieci, trzy córki i syn. Rok 1965.

- My, dzieciaki, bawiliśmy się w tym czasie najchętniej w wojnę. A w Głogowie sporo było jeszcze broni, niewypałów, niewybuchów, granatów poukrywanych, które potrafiłmy znaleźć. I pewnego dnia ten jeden, jedyny syn przyniósł do domu pocisk. Wiele rodzin nie miało ciepłej wody, łazienek. Oni też nie. Grzali wodę do kąpieli na środku kuchni. I ten chłopak, pach, ten pocisk w ogień wrzucił. I czekał co będzie - wspomina pan Andrzej.

Wybuch był straszny. Chłopaka na miejscu zabiło, a jedną z jego siostr odłamki poraniły okropnie. Ojciec chwycił ranną córkę i na rękach zniósł ją do karetki, która na sygnale pognęła do szpitala. Dziewiąta wieczór, wprowadzono doktora Sulickiego. Mieszkał kilkanaście metrów od szpitala.

Nie miał takiego sprzętu i aparatury, jak dzisiaj. Operował, odłamki powyciągał. Nie ruszył tylko jednego, dużego, który utknął przy sercu. Bo gdy próbował go ruszyć, serce natych-

miast przestawało pracować. Zaszył pacjentkę i wysłał ją na konsultację do Wrocławia. Zbadał ją sam profesor Wiktor Bross, ikona medycyny, pierwszy, który w Polsce przeprowadził operację na otwartym sercu. Prof. Bross stwierdził: „Tu nic więcej robić nie wolno. Ten lekarz z Głogowa zrobił wszystko to, co trzeba i dobrze, że tego odłamka nie wyciągał, bo gdyby go ruszył, to pacjentka by już nie żyła”.

- I niech sobie pan redaktor wyobrazi, że ta dziewczyna, dziś starsza kobieta, żyje! Urodziła dzieci, mąż już jej umarł, a ona żyje nadal - pan Andrzej nie może wyjść z podziwu.

„Po co ma pan chować w grobie dwójkę dzieci osobno?”

Co się dziś dzieje z tą dziewczynką, cudem ocalałą w wybuchu? Gdzie jest teraz? Jak wspomina ten tragiczny czas? Janka wtedy miała 16 lat. Dzisiaj - 76.

„Kiedyś mieszkała na drugim piętrze, w starym domu, obok był garaż” - mówi mi przez telefon pan Andrzej. - „Bym pana zaprowadził, ale w szpitalu wylądowałem, podleczyć się muszę”.

Chodzę pobliską ulicą Chopina, gdzie Janka mieszkała 60 lat temu. Od domu do domu - wybieram tylko te stare, ponemieckie. Do drzwi nowych budynków nawet nie pukam.

W większości domów nikt nie otwiera. Ci, którzy są w mieszkaniach - nie kojarzą wybuchu sprzed lat, ani dziewczynki, która ocalała. Nie dziwię się - to głównie młodzi ludzie.

W jednym z domów - dwa mieszkania. Dzwonię pod dwójkę („Janka mieszkała na piętrze”).

Otwiera starsza, szczupła kobieta. Uśmiecha się: „Kogo pan szuka?”.

Ubrana jest w letnią sukienkę, z lekkim dekoltem. Na piersi widzę bliznę, która biegnie prawie od szyi w dół, w okolice serca.

- Szukam pani Janiny, która mieszkała tu jako młoda dziewczynka: Janka Wagner... - pytam, choć jestem pewien, że już ją odnalazłem.

- To ja - odpowiada kobieta. - To mnie 60 lat temu ocalał doktor Sulicki i jego zespół. Do końca życia będę mu wdzięczna. Niech pan wejdzie - dodaje i zaprasza do mieszkania na piętrze.

Siadamy w pokoju, przy stole nakrytym białym obrusem. To w tym miejscu wydarzyła się przed laty tragedia.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Mieszkańcy wspominają, że zawsze żyli z sąsiadami jak w rodzinie

- A że mnie pan tu znalazł, to dopiero niespodzianka. Wiele lat tu nie mieszkałam. Wyprowadziłam się stąd na osiedle Kopernik z mężem. Ale wróciłam tutaj, do mieszkania rodziców, po latach. Na starość.

Wspomina: - To był 25 stycznia 1965 roku. Szedł mi 16. rok życia, urodziny mam we wrześniu. Nie wiedziałam, że coś wybuchło. Myślałam, że wysiadł prąd, bo był wielki błysk i nagle zrobiło się ciemno. Nie straciłam przytomności: pamiętam widok zakrwawionego brata, który leżał oparty o drzwi, pamiętam ból, jaki mi rozrywał prawy bok, i to, że leżałam na podłodze i chciałam podsunąć sobie stołeczek, żeby na nim usiąść, ale siły nie miałam. I tatę pamiętam, jak mnie trzymał na rękach i tulił. I to, jak strasznie płakał.

I pamiętam doktora Sulickiego, bo to doktor z ulicy obok, który był przy mnie, który ze swoimi ludźmi mnie ratował.

- Ta blizna na piersi to ślad po tym wybuchu? - dopytuję.

- Nie. Tu mnie cieli lekarze z Wrocławia, już później. Doktor Sulicki mnie operował od prawej strony - bo dwa odłamki uderzyły mnie w prawy bok. Rozerwały płuco i doszły w okolice serca. Jeden zdołali wyciągnąć, drugiego - który utkwiał w osierdziu prawej komory serca - nie udało się ruszyć. A próbowali. Trzy razy. Gdy lekko wyciągali, serce przestawało bić - więc zostawili w spokoju.

Rodzina opowiadała mi, gdy doktor Sulicki wyszedł po operacji na korytarz, to był cały w mojej krwi. Tata wspominał, że wyglądał jak „po świnobiciu”. Powiedział tylko: „Zrobiliśmy, co tylko mogliśmy. Córka ma cholernie silne serce, ale niech się pan z pogrzebem syna wstrzyma jeszcze. Nie wiadomo, czy córka przeżyje. Po co ma pan w grobie dwójkę dzieci chować osobno”.

Pani Janina uśmiecha się. - A ja z tym kawałkiem metalu przy sercu już 60 lat żyję. Czworkę dzieci urodziłam.

Doktora Sulickiego widywała później wielokrotnie. - No bo przecież mieszkał niedaleko. A gdy dzisiaj przechodzi 10 Maja, zawsze go wspominam, czule, z wdzięcznością.

Dieciarnia na środku jezdni bawiła się razem

Gdy wracam na 10 Maja, spotykam jeszcze Eugenię Rudkiewicz, mieszka pod numerem jedenastym. Też pamięta dawne czasy, dawnych sąsiadów, żyje w tym samym domu od ponad 50 lat.

Wita mnie w progu. Zaprasza do środka.

- Z roku na rok coraz gorzej z pamięcią. Ale dobre rzeczy pamiętam. Na przykład to, jak się tu, na 10 Maja sprowadziłam. Bo to była dobra decyzja, żeby tu zamieszkać, wśród dobrych ludzi.

Pani Eugenia przyjechała na Dolny Śląsk tuż po wojnie, z Tarnopolskiego, z Kresów. Ale nie od razu do Głogowa. Najpierw zamieszkała w pobliżu Rudnej.

Zaczyna snuć opowieść: - Mąż pracował w terenie, ja na miejscu - w Rudnej. W skupie żywcą pracę dostałam. Dobrą. A męża tak poznałam, że siedziałam przy biurku, przy oknie, a on na dachu pracował. I mnie zaczęła. Małymi kamykami we mnie rzu-



Bogusia (na zdjęciu po prawej) jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale to ona wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Andrzej Ruebenbauer

cał. Żeby uwagę zwrócić. No i zwrócił - uśmiecha się kobieta.

- „Danka” na mnie wołali, choć wpisane w papierach mam „Eugenia”. Mąż jeździł do pracy, a to do Legnicy, a to do Polkowic. I co rusz mu jakieś mieszkanie służbowe proponowali, a ja się z tej Rudnej ruszać nie chciałam. Ale, gdy kolejne mieszkanie, na 10 Maja właśnie można było kupić, najpierw je zobaczyła moja mama. Zachwyciła się tym miejscem i powiedziała: „Kupujcie”. I tak tu jestem tyle lat. I nie żałuję przeprowadzki - wspomina.

W domu, w którym mieszka do dzisiaj, wprowadziła się w latach siedemdziesiątych.

- Dzieci było tu mnóstwo, a samochodów mało, więc dzieciarnia na środku jezdni się bawiła razem. Przy dzieciach każdy każdemu pomagał, w opiece. Ja w szpitalu pracowałam, mąż był elektrykiem. Trójka dzieci, w ogródku warzywa, owoce no i świnka, i kury - opowiada.

- I wie pan, cieszy mnie to, że czasy się zmieniają, a ludzie się nie zmieniają. Dzisiaj też, nawet bardziej, bo dzieci daleko, na sąsiadów liczyć mogę. O, niby błaża rzecz, a jednak ważna. Dzwonek do drzwi mi się zepsuł. Sąsiad przyszedł, naprawił, grosza nie wziął. Za „dziękuję” - opowiada pani Eugenia i dorzuca:

- Mówi się, że czasy niebezpieczne, że ludziom ufać nie należy. Ludziom może i nie, ale sąsiadowi? - uśmiecha. - Sąsiedzi nawet klucz mają od mojego domu, tak na wszelki wypadek. Gdybym zasłała.

Góra z górą się nie zejdzie, ale sąsiad z sąsiadem

Państwo Stanisława i Piotr Kachnowicz mieszkają pod numerem szóstym. Sprowadzili się tu 20 lat temu, do mieszkania na parterze. Wcześniej mieszkali m.in. w czteropiętrowym bloku, też w Głogowie, przy ul. Obrońców Pokoju.

Pan Kachnowicz: - Jak trzeba z mechaniką coś w aucie pomóc, to sąsiad zza płotu nigdy nie odmawia. Jak to mówią: w rodzinie dobrze mieć księdza, lekarza i mechanika samochodowego. My tego ostatniego mamy za sąsiada - uśmiecha się.

- Ja jestem urodzony na wsi. Cenię sobie spokój, a mieszkając na tej ulicy spokój jest. Okno można otworzyć, pooddychać swobodnie.

Gdy słucham ich opowieści, wracają wspomnienia. Moje wspomnienie o sąsiadach z dzieciństwa. Bo przecież państwo Kachnowiczowie byli moimi sąsiadami. Dwa piętra niżej, kiedy jako mały Robercik (ponad cztery dekady temu) mieszkałem w Głogowie, w bloku z wielkiej płyty, właśnie przy Obrońców Pokoju.

- A co u rodziców?

- A państwo mieli dwóch synów.

- A jak tam siostra?

- A co słyhać u dawnych sąsiadów? Macie z nimi kontakt?

Opowieści o rodzinie, sąsiadach z bloku przy Obrońców, przeplatają się jedna z drugą, kto na którym piętrze mieszkał, co u kogo słyhać.

Sąsiadów się nie zapomina. A spotkać ich po latach to jak cud.

WZROST INTENSYWNOŚCI SĄSIEDZKICH WIĘZI TO EFEKT UBOCZNY PANDEMII COVID-19?

Genialna poetka Agnieszka Osiecka pisała przed laty: „Jak dobrze mieć sąsiada/Jak dobrze mieć sąsiada/On wiosną się uśmiechnie/Jesienią zagada”. Sielankowo jest w tekście piosenki Osieckiej. A jak wyglądają relacje międzysąsiedzkie w Polsce w ostatnich latach?

Odpowiedź mogą przynieść badania „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzone przez Centrum Badań Opinii Społecznej (CBOS), a opublikowane w styczniu 2025 roku.

- Odkąd prowadzimy badanie więzi społecznych w miejscu zamieszkania, możemy obserwować, że relacje sąsiedzkie o charakterze czysto grzecznościowym i konwencjonalnym stają się stopniowo (zwłaszcza w ostatnim siedmioletnim) coraz mniej powszechne. W ciągu całego analizowanego okresu niespełna trzydziestu lat obserwujemy także minimalne, ale jednak dość systematyczne, zmniejszanie się zakresu sąsiedzkiego współdziałania o charakterze pomocowym, polegającego na wyświadczeniu sobie drobnych przysług, jak np. pożyczanie sobie czegoś, pilnowanie domu, pomoc w opiece nad dziećmi czy odbieranie przesyłek. Być może to ostatnie zjawisko świadczy o wzroście dostępności i jakości profesjonalnych usług wszelkiego rodzaju, co nie wymusza już konieczności proszenia sąsiadów o tego typu pomoc - informuje CBOS.

Natomiast dużo częstsze w relacjach z sąsiadami, niż były rejestrowane przez badaczy kiedykolwiek wcześniej, są dzisiaj kontakty o charakterze towarzyskim - wzajemne odwiedzanie się, bywanie u siebie na uroczystościach rodzinnych czy innych spotkaniach.

- W porównaniu z 2017 rokiem odsetek badanych, którzy utrzymują tego typu zażyłe kontakty z sąsiadami, wzrósł aż o 20 punktów procentowych. Tę tendencję wzrostową obserwujemy również w dłuższym okresie - jeśli za punkt odniesienia przyjąć rok 1995, to odsetek tego typu relacji zwiększył się o 14 punktów procentowych - czytamy w raporcie Centrum Badań Opinii Społecznej.

Od roku 2008 na podobnym poziomie utrzymuje się liczba sąsiedzkich konfliktów.

Polacy deklarują, że konflikty w najbliższym sąsiedztwie zdarzają się tylko nielicznym spośród nich, co jedenasty (9%) z badanych przyznał, że jest skonfliktowany z sąsiadami. W większości przypadków są to spory czy animozje ze stosunkowo niewielką grupą (od jednego do pięciu sąsiadów - 7%). Tylko zupełnie nieliczni (1%) są skonfliktowani i żyją jak przysłowiowy pies z kotem z większością sąsiadów.

- Mimo spadku niewielkiego znaczenia samopomocowych usług sąsiedzkich, ogólnie rzecz biorąc w ciągu ostatnich siedmiu lat zdecydowanie zwiększył się wcześniej dość stabilny odsetek badanych utrzymujących bliskie relacje z sąsiadami, zarówno te o charakterze towarzyskim, jak i pomocowym. O ile w okresie 2008-2017 odsetek ten nie przekraczał jednej trzeciej deklaracji, to obecnie sięga prawie połowy wskazań. Z drugiej strony wyraźnie zmniejszyła się liczba badanych utrzymujących tylko jednego typu kontakty z sąsiadami, natomiast nie zmienił się odsetek respondentów nieutrzymujących żadnych bliższych z nimi kontaktów. Tak znaczący wzrost intensywności sąsiedzkich więzi w ostatnich latach można interpretować jako efekt uboczny pandemii COVID-19 i okresu społecznej izolacji, która siłą rzeczy skazywała nas na współdziałanie z najbliższymi sąsiadami. Zadzierzgnięte wówczas więzi najwyraźniej utrzymują się do dziś - podsumowuje CBOS w swoich najnowszych badaniach.

Specjalizujecie się w konstrukcjach stalowych, budując hale produkcyjne, magazyny i różne konstrukcje modułowe. Ale nagle pojawiła się koncepcja schronów modułowych. Rozumiem, że skoro taki jest czas i okoliczności (wojna na Ukrainie), to pojawił się i pomysł.

Jak to mówią: „potrzeba jest matką wynalazków”. Jako właściciel marki ALE HALE.pl cały czas obserwuję rynek, sytuację w kraju i na świecie. Od 3 lat dostarczamy rozwiązania dla polskiego wojska. Na początku były to zwykłe kontenery mieszkalne i sanitarne. Potem pojawiły się realizacje modułów specjalistycznych do celów typowo militarnych. Rok temu pojawił się pomysł stworzenia jednostki opancerzonej dedykowanej głównie dla Straży Granicznej i Wojsk Dronowych. Nie chcemy, aby nasi żołnierze ginęli, strzegąc wschodniej granicy. Dlatego stworzyliśmy kontener obserwacyjny CHRONOS 1, który zapewnia bezpieczną służbę dla dwóch funkcjonariuszy, którzy są dodatkowo wspomagani przez systemy wizyjne i alarmowe.

Możemy poznać jakieś szczegóły tej konstrukcji?

Ten kontener to jednostka stworzona na bazie morskiego kontenera 10-stopowego, wzmocnionego i posiadającego zabezpieczenie balistyczne (odporny na ostrzał z broni maszynowej, chroni przed falą uderzeniową i odłamkami). Krótko mówiąc, to specjalistyczny, opancerzony, nowoczesny i mobilny punkt obserwacyjno-dowodczy. Został zaprojektowany z myślą o wsparciu operacji dla bezzałogowych statków powietrznych (UAV). Obiekt jest odporny na zagrożenia CBRN (chemiczne, biologiczne, radioaktywne i nuklearne) i, co oczywiste, przystosowany do szybkiego transportu, rozstawienia i eksploatacji w warunkach bojowych. I to jest nasz najnowszy produkt, z którego jesteśmy bardzo dumni i prezentujemy jego zalety gdzie tylko mamy okazję.

Wiem, że w tym roku zostało zorganizowane spotkanie z podlaskimi samorządowcami i przedstawicielami służb mundurowych, na którym prezentowaliście swoje produkty dedykowane służbom mundurowym, jak również pokazaliście swój podziemny obiekt ochronny.

Tak, na nasze zaproszenie odpowiedziało niemal 90 osób. Budując nową halę magazynową, wybudowaliśmy podziemne „ukrycie” w technologii modułowej. Dodatkowo wzmocniliśmy nasz obiekt solidną warstwą zbrojonego betonu i w ten sposób staliśmy się pierwszą firmą w kraju, która

LUDZIE CHCĄ KUPOWAĆ PRZENOŚNE SCHRONY, CZYLI MOBILNE PUNKTY OCHRONNE

– Jesteśmy jedynym przedsiębiorstwem w Polsce, które samo zbudowało i ma własny schron dla swoich pracowników
– mówi dyrektor białostockiej spółki ALE HALE Waldemar Siuchno

Wojciech Obremski



Mobilny punkt ochronny to moduł zabezpieczony balistycznie. Chroni też przed ostrzałem z broni maszynowej oraz falą uderzeniową i odłamkami

wybudowała nowy obiekt ochronny od kilkudziesięciu lat. Założenie jest takie, że ma on służyć jako ukrycie dla pracowników naszej firmy. Proszę zwrócić uwagę, ile się mówi o szkoleniach, o tym, że coś będzie robione, że jest potrzeba zrobienia itd... Wszyscy mówią – my robimy.

Co posiada ten obiekt, choć zakładam, że na przykład dostęp do mediów (prąd, woda) jest konieczny.

Tak. Nasz obiekt składa się z trzech części. Pierwsza to wejście z klatką schodową, druga to pomieszczenie główne, gdzie schronienie znajdzie do 50 osób na czas do 8-10 godzin i jest też część sanitarno-techniczna z kompletnie urządzoną łazienką oraz pomieszczeniem na zbiorniki z wodą, stacją uzdatniania, pompami, urządzeniami do fil-

tramentacji itp... Komplex posiada też wyjście ewakuacyjne prowadzące poza obiekt.

Jednak nie wszędzie można wybudować podziemny obiekt ochronny. Czy macie w swojej ofercie moduły, które można ustawić wprost na ziemi?

Z doświadczenia wiemy, że w Polsce każde budowanie to szereg formalności związanych z uzyskaniem wymaganych prawem decyzji i pozwoleń. Wychodząc naprzeciw tym trudnościom i oczekując rychłych zmian związanych z uproszczeniem procedur związanych z budowaniem obiektów ochronnych, opracowaliśmy kolejną nowatorską metodę ochrony ludności. MOBILNY PUNKT OCHRONNY to moduł na bazie dwóch wielkości kontene-

rów, tzn. 20- i 40-stopowych jednostek, które są zabezpieczone balistycznie. Chronią też przed ostrzałem z broni maszynowej kaliber 7,62 x 51 mm, NATO M-80 oraz skutecznie zabezpieczają ich lokatorów przed falą uderzeniową i odłamkami. Obiekt nasz są wyposażone w szereg udogodnień, które zapewniają bezpieczne przetrwanie dla osób w nim ukrytych na czas 8-10 godzin. Mamy tam łóżka piętrowe, siedziska, zapas wody, żywność energetyczną, apteczkę, opatrunki, defibrylator i wiele innych, przydatnych elementów. W mojej ocenie, jest to dobra propozycja na polski rynek, bo nie wiemy, ile właściwie mamy czasu na zapewnienie bezpiecznych miejsc ukrycia, schronienia naszym obywatelom. Nasze rozwiązanie maksymalnie skraca czas realizacji zadania,

Gazeta Lubuska
Piątek, 10.10.2025

a jak wszyscy wiemy, tego czasu nie mamy zbyt wiele.

Jak wiele osób mogą pomieścić te mobilne obiekty, bo rozumiem, że nie przygotowaliście tylko jednego rozmiaru? Zgodnie z przepisami taki 20-stopowy kontener może zmieścić od 20 do 25 osób, a 40-stopowy od 40 do 50 osób. Przy pomn, że nie mówimy o typowym schronie, ale wyposażenie tych obiektów (w tym łóżka piętrowe, siedziska, z których mogą korzystać dzieci i osoby starsze) pozwala przetrwać owe osiem godzin.

A jeśli ktoś zechce zbudować sobie taki obiekt na działce w lesie lub przy domu na osiedlu, może do was przyjść i złożyć zamówienie. ALE HALE ma konstrukcję, technologię itp., więc możecie klientowi dostarczyć gotowy produkt. Tak, mamy technologię i opatentowane niektóre rozwiązania. A szczerze mówiąc, na razie obserwuję większe zainteresowanie mobilnymi schronami ze strony osób prywatnych niż np. samorządów czy dużych firm. To nie brzmi dobrze, ale tak jest, niestety.

Bo klienci indywidualni mogą wydać więcej pieniędzy niż samorządy. Ile trzeba mieć, żeby sprawić sobie takie modułowe miejsce ukrycia?

To nie są tanie rzeczy, ale bezpieczeństwo ludzkie nie ma ceny. Nasze MOBILNE PUNKTY OCHRONNE są relatywnie tanie w stosunku do budowl, jaką jest schron podziemny. Schron to jest wysoce zaawansowany obiekt. Koncepcja, projekt, pozwolenia na budowę, wyposażenie, odbiór itd... Przy realizacji tego typu inwestycji wymagane jest posiadanie odpowiednich środków finansowych oraz potrzebny jest znaczny czas na realizację zadania. My przywołimy gotowe rozwiązanie na naczepie TIR-a. Stawiamy na wcześniej przygotowanym podłożu i w tej samej chwili obiekt jest gotowy do użytkowania. Nasz produkt cieszy się coraz większym zainteresowaniem i obecnie prowadzimy zaawansowane rozmowy dotyczące realizacji takich dostaw.

Schrony w budynkach budowaliśmy w latach 50., 60. i 70. ubiegłego wieku. Potem sytuacja geopolityczna była taka, że inwestowania w schrony zaprzestano, ale od trzech lat mamy konflikt na Ukrainie, która jest naszym sąsiadem. Ja bardzo często uczestniczę w spotkaniach różnych sztabów kryzysowych i okazuje się, że nawet remont podziemnego schronu dla pięćdziesięciu osób wymaga koncepcji, przygotowania projektu, uzyskania pozwolenia na budowę, organizacji przetargu itd. itp. Jeśli będziemy nadal szli tą drogą,

nic nie zbudujemy. Jeszcze raz pragnę podkreślić, że należy jak najszybciej uprościć procedury związane z legalizacją istniejących obiektów, a także zmniejszyć do niezbędnego minimum proces uzyskiwania pozwoleń nowych obiektów ochronnych.

Zostawmy na razie formalności. Wasza firma jest gotowa do robót realizowanych z dnia na dzień.

Tak. Mamy projekty, opracowaną technologię, wykwalifikowaną kadrę pracowniczą. Nasz zakład jest w stanie produkować kompletne MOBILNE PUNKTY OCHRONNE w ilości około 10 sztuk w skali miesiąca. Trzeba dodać, że są one w całości urządzone i wyposażone. Po dostawie nasz produkt jest od razu gotowy do użytkowania. W Polsce jest mnóstwo miejscowości, które nie posiadają żadnych miejsc ukrycia. Idealnym rozwiązaniem jest taki moduł, który można ustawić w centralnym punkcie miejscowości, aby – w razie zagrożenia – umożliwić równy czas dotarcia wszystkim mieszkańcom.

Próbował pan zainteresować swoimi produktami wojsko?

Wojsko bardzo się tym tematem zainteresowało. Na początku października zostałem zaproszony do Ministerstwa Obrony Narodowej, gdzie będę miał prelekcję połączoną z prezentacją naszych produktów. Chcę mówić nie tylko o miejscach do ukrycia, ale również o całym szeregu mobilnych rozwiązań dla wojska, które nasza firma opracowała i chce wdrożyć na rynek. Tak się składa, że wojsko boryka się z podobnymi problemami jak ludność cywilna, czyli z brakiem bezpiecznych miejsc ukrycia. W ramach rozwiązywania tego problemu możemy zaproponować szybkie stawianie mobilnych punktów ochronnych, tych samych, jakie oferowane są do ochrony ludności cywilnej. W swojej ofercie mamy też modułowe rozwiązania schronów podziemnych. Procedura budowy schronu wojskowego w tradycyjnej technologii zajmuje lata. My, realizując nasze rozwiązania modułowe, jesteśmy w stanie szybciej wybudować schron podziemny, taki z prawdziwego zdarzenia, niż obecnie trwają procedury związane z uzyskaniem pozwolenia na budowę. Inwestowanie w takie budowlę powinno zostać wyłączone spod rygorów i przepisów prawa budowlanego. To jedyna droga, by w kraju mogły szybko powstawać obiekty do ochrony ludności. Powtarzam się, ale chcę, żeby ten apel zabrzmiał bardzo wyraźnie. Jest to do zrobienia, ale wszyscy muszą zdać sobie sprawę z powagi chwili.

Nie będzie łatwo. Jest duży opór gmin turystycznych przed zmianami - mówi Iwona Hartwich (KO), posłanka z Torunia. Taką refleksję ma po pierwszych kontaktach z władzami samorządowymi gmin, do których pod koniec sierpnia wystosowała list otwarty. Otwarte w pewnym stopniu są te władze, które zaprosiły na rozmowy. Oporu można się spodziewać tam, gdzie jest brak reakcji albo pojawia się odpowiedź: „Nie da się tak od razu”.

Hartwich w swoim liście adresowanym do wszystkich gmin turystycznych w Polsce zaapelowała o trzy podstawowe sprawy. Po pierwsze, o zapewnienie w każdej miejscowości nadmorskiej i w każdym dużym kurorcie turystycznym co najmniej jednego w pełni dostępnego wejścia do wody osobie poruszającej się na wózku inwalidzkim.

Po drugie, o uwzględnienie potrzeb osób z niepełnosprawnościami w planach zagospodarowania przestrzennego i inwestycjach turystycznych. Trzecim postulatem natomiast jest wykorzystanie opłat klimatycznych oraz funduszy unijnych na likwidację barier architektonicznych w miejscach wypoczynku.

- Zapewnienie dostępu do plaży czy kąpieliska osobom z niepełnosprawnościami nie jest łaską. To obowiązek wobec obywateli - podsumowała posłanka z Torunia. I po apelu ruszyła do pracy - na spotkania z poszczególnymi samorządami. Była już w kilku miejscach nad morzem, planuje kolejne spotkania.

Nie byłoby apelu posłanki i rozpoczętej kampanii, gdyby nie liczne sygnały, które dostawała przez całe wakacje. Zresztą, kolejne już takie. Sama jest matką niepełnosprawnego Jakuba, poruszającego się na wózku. Od lat walczy o poprawę sytuacji osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów. Wie, na co się teraz porzywa, ale jeśli nie dziś, to kiedy?!

A tymczasem niepełnosprawni i ich opiekunowie ślą kolejne zgłoszenia i skargi. Wyłania się z nich obraz kraju, w którym traktowani są jak obywatele drugiej kategorii. „Może dlatego, że za mało się na nas zarabia” - konstatują smutno niektórzy.

„Jestem w sanatorium w Kołobrzegu. Spacer nad morzem niemożliwy”

Wrzesień. „Jestem w sanatorium w Kołobrzegu. Niestety, spacer nad samym morzem niemożliwy. Nie ma jak wózkiem zjechać” - daje znać posłance Aneta.

W mediach społecznościowych reakcja natychmiastowa.

O GODNOŚĆ NA WAKACJACH. NIEPEŁNOSPRAWNI JAK TURYSŢCI DRUGIEJ KATEGORII

Brak zjazdu nad morze czy jezioro, niedostępne toalety, nieczynne windy i podnośniki, za wysokie krawężniki - to tylko początek długiej listy barier. Osoby niepełnosprawne wciąż są w Polsce turystami drugiej kategorii. Czy kampania podjęta przez posłankę Iwonę Hartwich to zmieni? Czy następne wakacje będą lepsze?

Małgorzata Oberlan



Czas skończyć z barierami na polskich plażach!

FOT. FACEBOOK/IWONA HARTWICH

Posłanka Iwona Hartwich z Torunia (KO), mama niepełnosprawnego Jakuba i aktywna działaczka na rzecz poprawy sytuacji osób niepełnosprawnych i ich opiekunów, wystosowała list otwarty do władz wszystkich gmin turystycznych w Polsce. Podjęła walkę o dostępność infrastruktury dla niepełnosprawnych - zaczęła cykl spotkań

„Byłam, potwierdzam” - pisze Romana. „To prawda” - pisze Darek. „Dobrze, że ktoś się za to wziął. Niedostosowane bywają nawet te ośrodki, które teoretycznie mają podpisane umowy z PFRON-em i biorą grubą kasę za turnus. A tymczasem nie mają dostosowań, a rehabilitacja w nich nie spełnia żadnych norm. To są wyjazdy wakacyjne za kasę PFRON-u. Wszyscy o tym wiedzą, a nikt głośno nie mówi” - dorzuca Agata.

Lipiec i sierpień. „Ja z synem (niepełnosprawnym) byłam w Dźwirzynie. Tam również nie ma zejścia dla niepełnosprawnych. Owszem, jest takiego tylko kawałek. Ale co dalej? Byłam w tej sprawie w miejscowym urzędzie. Pani sobie zapisała ten problem i kazała mi jeszcze pisać do Kołobrzegu, bo oni tam podlegają” - relacjonuje pani Ewa.

- Świnoujście, Międzyzdroje, Mrzeżyno, Dźwirzyno, Kołobrzeg, Stegna, Jantar, Kąty Rybackie, Sztutowo, Sopot, Gdynia... Z tych nadmorskich miejscowości tylko Gdynia ma plażę naprawdę dostosowaną dla potrzeb osób z niepełnosprawnościami: z kompleksem zjazdów aż do samego morza, toaletami i przebieralniami przy samej plaży. Pozostałe miejscowości, nawet jeśli coś mają, to są to pseudozjazdy o długości 2-3 metrów. W najlepszym razie, jak w Świnoujściu, jest kilka zjazdów, nawet z platformami, ale do połowy plaży. Największym rozczarowaniem był dla mnie Kołobrzeg, który mieni się największym uzdrowiskiem w Polsce. Jest wprost naszpikowany barierami” - to opinia innej matki osoby niepełnosprawnej.

„Jest to ogromny problem nad polskim morzem. Przykła-



Iwona Hartwich z synem

FOT. FACEBOOK/IWONA HARTWICH

dem jest Rewal. W kwietniu 2025 roku oddano tam nowe, wygodne zejście z 57 schodami. Ale niedostępne dla osób niepełnosprawnych” - opisuje pani Anna.

Nie chodzi tylko o morze. I nie tylko o osoby na wózkach...

W przywoływanym Trójmieście nie tylko dostęp do morza jest problemem. Wykluczeni w tym turystycznym mieście czują się ludzie z różnymi typami niepełnosprawności i w różnych jego rejonach.

„W przypadku Trójmiasta jest jeszcze jeden aspekt dostępności dla niepełnosprawnych: perony SKM. Mam niewidzącą, dorosłą córkę i całe szczęście, że mój mąż ma jeszcze siłę wziąć ją pod ramiona i przesadzić przez tę przepaść, która ziele między wagonem a peronem - doświadczyliśmy tego w Sopocie i Gdyni. W nowych pociągach też nie ma lekko - wyjście jest o jakieś 20-30 cm niżej niż peron i do tego ta przerwa między stopniem a krawędzią peronu. Być może mieszkańcy Trójmiasta już się z tym pogodzili, ale dla przy-

jezdnych to szok. Jak radzą sobie seniorzy czy osoby z ograniczeniem ruchowym? Nie mam pojęcia” - opisuje matka z Kuja-wsko-Pomorskiego.

A przecież wakacje to nie tylko morze, ale i jeziora, uzdrowiska, góry, turystyka miejska. I tutaj lista barier i najzwyczajszych upokorzeń jest długa. Po-czawszy od banalnych dla ko-goś zdrowego spraw typu do-stęp do WC.

„Mój mąż ma urostomię. Po-jechaliśmy do Torunia pocią-giem i wysiedliśmy na dworcu Toruń Miasto. Tak nam ra-dzono, bo najbliższej starówki. Jest w remoncie. Toalety przy-zwoitej brak, tylko jakaś budka. Chcieliśmy dojść do starówki, ale mąż nie wytrzymał. Wore-czek opróżniał w krzakach” - wspomina letnią wycieczkę Be-ata.

Jakie będą kolejne wakacje? „Są deklaracje”

Historie, relacje, sygnały można by mnożyć. Niedostęp-ność turystyczna w Polsce to skutek długich lat zaniedbań. Niestety, także ostatnich, kiedy to wiele gmin korzystało z unij-nych dotacji na rozwój swojej bazy, atrakcji etc. Już na etapie projektowania nowych inwe-stycji czy modernizacji starych „zapominano” o realnym ich dostosowaniu do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Re-alnych, bo jakieś podstawowe wymogi jednak się spełnia.

Pierwsze z cyklu spotkań z samorządami gmin turystycz-nych posłanka Iwona Hartwich odbyła z przedstawicielami Gdańska i Sopotu. Nie była na nim sama. Towarzyszyła jej posłanka Henryka Krzywonos oraz dwie matki niepełno-sprawnych dzieci: Marzena Sta-niewicz i Maja Iwińska. Jakie re-fleksje na gorąco?

- Cóż, w Sopocie mamy kładkę do morza jedyną taką całej Polsce. Pod względem do-stępności dla osób z niepełno-sprawnością i komfortu może być wzorem dla każdej miejscowości. I tyle. Ze strony Gdańska plan jest taki, aby powstała cho-ciaż jedna tego typu także u nich. Będzie kolejne spotka-nie w tej sprawie, po sprawdze-niu możliwości. Pani prezydent Gdańska ma być ze mną w kon-takcie - przekazuje posłanka.

Generalnie, oporne na zmiany gminy turystyczne czy uzdrowiskowe lubią mó-wić: postulaty słuszne, ale skąd wziąć na to pieniądze? Tutaj odpowiedź posłanki jest jednak natychmiastowa. Po pierwsze, niektóre rozwiązania są proste i niedrogie. Po drugie, gminy pobierają opłaty klimatyczne. Po trzecie zaś - są beneficjen-tami dotacji z Brukseli także na rozwój turystyki.

- I przynajmniej część tych środków powinna być przeznac-zana na likwidację barier - podkreśla konsekwentnie Iwona Hartwich. ©©

ARTUR ŻMIJEWSKI: TE PIOSENKI SĄ O NAS, BEZ WZGLĘDU POD JAKĄ SZEROKOŚCIĄ GEOGRAFICZNĄ SIĘ ZNAJDUJEMY

Wszyscy go znamy i lubimy jako księdza Mateusza z telewizyjnego serialu. Teraz debiutuje jako wokalista, prezentując płytę „Po miłości kres” z pieśniami Leonarda Cohena. Nam Artur Żmijewski opowiada, jak aktorstwo i śpiewanie przeplatało się w jego życiu od początku kariery

Parwot Gzył

Większość z naszego pokolenia poznała pieśni Leonarda Cohena w liceum lub na studiach w latach 80. W Pana przypadku też tak było?

Dokładnie tak. Jeszcze jako nastolatek przed szkołą teatralną słuchałem Cohena z upodobaniem i nawet próbowałem go wykonywać nieporadnie. To była taka moja młodzieńcza fascynacja.

Co Pana ujęło w tych pieśniach, że już wtedy zaczynał Pan śpiewać?

Cohen był wtedy niezwykle popularny i jego się wtedy powszechnie słuchało. Zarówno młodzież, jak i dorośli. To były lata 80., czyli najgorsza w swym schyłkowym okresie komuna. A przecież Cohen był autorem pieśni zaangażowanych, jak „Partyzant”, który był wówczas jednym z nieformalnych hymnów Solidarności. Trudno było, mając tyle lat, ile wtedy mieliśmy, nie buntować się przeciw tej rzeczywistości. Nikt z nas nie chciał się zapisywać do ZSMP, tylko stawać po drugiej stronie. I Cohen był jakimś sposobem na zmanifestowanie tej postawy.

Co sprawiło, że 40 lat później postanowił Pan zmierzyć się z twórczością Cohena i przygotować recital z jego pieśniami? Tym razem mogłem skupić się na ich interpretacji. Sięgnąłem przede wszystkim po tłumaczenia Macieja Zembatego, który niektóre z nich, jak „My Secret Life” chociażby, przetłu-

maczył prawie słowo w słowo. A do tego jeszcze smacznie i sensownie. Warto tutaj podkreślić, że Cohen nie pisał tekstów piosenek, tylko wiersze. Nie bez powodu był w pewnym momencie brany pod uwagę jako kandydat do literackiej nagrody Nobla. Przegrał tę konkurencję z Dylanem tylko dlatego, że Dylan był bardziej znany. Ale to świadczy tylko o tym, jakim wielkim talentem literackim Cohen był obdarzony. Pisał o miłości, o przemijaniu, o samotności, o śmierci, tym, co dotyka nas wszystkich. Dlatego te piosenki są o nas, bez względu pod jaką szerokością geograficzną się znajdujemy.

Cohen zostawił po sobie dużą spuściznę. Według jakiego klucza wybrał Pan te trzynaście piosenek na koncert i płytę?

Tytuł tego przedsięwzięcia to „Po miłości kres”. Trzeba więc było wybrać pieśni związane z miłością i z tym, co jej dotyka. Stąd tutaj „Zuzanna”, „Siostry miłosierdzia” czy „Słynny niebieski prochowiec”. To wszystko pieśni dotyczące tego tematu.

Są tu największe przeboje Cohena, które znają wszyscy. Nie bał się Pan z nimi zmierzyć?

Nie ja pierwszy i nie ostatni się tego podjąłem. Już różni to przede mną robili i jakoś sobie zębów nie powybijali. Uznałem więc, że warto podjąć takie ryzyko. I teraz nam wszystkim, którzy jesteśmy na scenie, daje to wielką frajdę. Ale trzeba za-

uważyć, że nie śpiewam wyłącznie te największe przeboje. Bo wczoraj po koncercie w Ostrołęce przyszła pewna pani i powiedziała, że słucha Cohena od wielu lat i taka piosenka, jak „Wspomnienie”, nigdy jej się o uszy nie obija. Wykonujemy więc też takie kompozycje, których ludzie nie znają.

Lepiej się Panu śpiewało te wielkie przeboje Cohena czy te mniej znane utwory, jak „Wspomnienie” czy „Goście”?

Nie rozgraniczałbym tego w ogóle w ten sposób. Te pieśni, mimo że jak to u Cohena są w większości smutne i refleksyjne, to w naszych aranżacjach są bardzo odmienne od tych jego typowo balladowych wykonania. I to też jest pewną zaletą tego przedstawienia. A poza tym nie jestem na scenie sam, bo jest ze mną moja córka z partnerką jako duet Eva & Shandy i one śpiewają chórki, ale mają też swoje partie solowe i wykonują jeden utwór nawet tylko we dwie.

Skąd taki pomysł?

Skoro mamy na scenie dwie fantastyczne dziewczyny, które potrafią śpiewać i grać,

to trudno tego nie wykorzystać, by pokazać Cohena też w innym kolorze. I piosenka, którą wykonują Eva & Shandy, jest zawsze bardzo ciepło przyjmowana, a po koncercie wszyscy zachwycają się, jak cudownie brzmią, jakie mają piękne głosy i jak są uzdolnione. W „Tęsknij” Ewa śpiewa zamiennie partie wokalne ze mną, Shandy ma z kolei we „Wspomnieniach” dużą partię solową. To coś, co fajnie uatrakcyjniło to nasze przedsięwzięcie.

Bezpieczniej się Pan czuje na scenie, mając bliskie osoby za plecami?

Ja zasadniczo dobrze czuję się na scenie z ludźmi, których lubię i dobrze znam. Bo najważniejsze to mieć do siebie zaufanie. I ja ufam zarówno swojej córce, jak i wszystkim osobom, które są ze mną na scenie. Wiem, że to, co robimy, robimy tak jak chcemy oraz że to jest dobre i podoba się słuchaczom.

Eva i Shandy to zupełnie inne pokolenie. Jak one odbierają Cohena?

Wypowiedz się, Ewa, proszę. **Ewa Żmijewska (która towarzyszy rozmowie):** Cohen na pewno nie ma dla nas ta-

kiego samego znaczenia, jak dla pozostałej części zespołu, która jest starsza życiowym stażem. My urodziłyśmy się na początku lat 90., kiedy więc zaczęłyśmy świadomie odbierać muzykę, Cohen już nie był tak popularny. Cały ten aspekt polityczny jego twórczości nie był więc dla nas ważny. Nie przeżywałyśmy więc jego pieśni w ten sposób. Ale pamiętam jako dziecko, że Cohen był często u nas puszczany w domu, słyszałam go też w radiu. Co ciekawe, jako dorosła osoba poznałam te piosenki po angielsku, kiedy studiowałam w USA. Teraz trafiają one do mnie na nowo, kiedy uczę się ich interpretować w języku polskim. Dzięki temu znajduję w nich coś dla siebie. Te utwory są świetnie napisane i świetnie przetłumaczone, dlatego mają ponadczasowy charakter.

Aktorskie doświadczenie pomaga Panu w interpretacji tych pieśni?

Oczywiście. Ja zabrałem się do tego tak jak zabieram się do każdej roli w sposób świadomie aktorski, czyli od interpretacji tekstu. To pomogło mi poradzić sobie wokalnie. Sięgnęliśmy przede wszystkim po tłumaczenia Macieja Zembatego, ale jeden tekst jest przetłumaczony przez Michała Kuźmińskiego i jeden przez Romana Kołakowskiego. W trakcie przedstawienia czytam też fragmenty „Księgi miłosierdzia” i „Księgi tęsknoty” w tłumaczeniu Daniela Wyszogrodzkiego, bo to nie tylko koncert, ale rodzaj opowieści, którą staram się snuć na scenie.

I wszystko są to świetne tłumaczenia. To, że ludzie słyszą te pieśni po polsku, dla wielu jest dużym zaskoczeniem i odkryciem, ponieważ mogą w pełni zrozumieć przesłanie ich autora. Czasem przychodzą po występie i mówią, że ta czy inna piosenka miała dla nich zupełnie inne znaczenie, a po polsku odczytali ją w całkiem inny sposób. Ma to więc fajny sens, dający nam wielką satysfakcję.

Zapowiadając tę płytę, powiedział Pan o Cohenie: „Jego pieśni są jak lustro – każdy widzi w nich siebie”. Co bliskiego sobie zobaczył Pan w tych utworach?

Całe swoje dotychczasowe życie i przewidywania tego, co się wydarzy w przyszłości. Im głębiej w to wchodziłem i uświadamiałem sobie pewne sytuacje z przeszłości, zaczynałem lepiej rozumieć, co miał na myśli Cohen, pisząc o swojej teraźniejszości. Bo te wiersze kompletnie przekładają się na nasze życie. Jeśli więc ktoś chce mieć chwilę refleksji nad swym życiem, to pieśni Cohena są znakomite, żeby uświadomić sobie wiele rzeczy. Myślę, że to dla mnie największa wartość.

Dlaczego zdecydował się Pan zamieścić na płycie nagranie z koncertu w Białymstoku, a nie studyjne wersje?

Myśmy się na początku nie przymierzali do wydania płyty. Ona jest efektem koncertu, który został zarejestrowany. Naszym celem było stworzenie przedsięwzięcia, w ramach którego moglibyśmy pokazać pieśni Cohena sprzed wielu lat współczesnej publiczności. Przy kolejnej okazji zaproszono nas do Radia Białystok i umożliwiono nagranie tego materiału. Kiedy okazało się, że jest on takiej jakości, iż możemy go pokazać na płycie, tak właśnie się stało.

Teraz trwa trasa koncertowa z tym programem. Wykonuje Pan tylko te trzynaście pieśni, które są na płycie?

Coraz bardziej nas kusi, żeby poszerzyć ten recital, bo obserwuję duże nim zainteresowanie. Niektórzy widzowie przypominają nam o pieśniach Cohena, których nie wzięliśmy pod uwagę, a bardzo by się do tego przedstawienia nadały. Dobrze by więc było wzbogacić nasz program o nowe utwory lub potraktować je wymiennie. I do tego z pewnością kiedyś dojdzie, być może nawet w niezbyt odległym czasie. Wciąż słuchamy oryginalnych nagrań Cohena i wciąż przychodzą nam do głowy nowe pomysły. Zrobimy więc pewnie jakieś kolejne 2-3 piosenki i być może tym razem nagramy je studyjnie. Ale to na razie kwestia przyszłości.

W internecie są bardzo pozytywne opinie o Pana występach. „Poruszające interpretacje” – pisze jedna z fanek. „Super przeżycie muzyczne” – dodaje druga. Podchodzi Pan do tych koncertów również bardzo emocjonalnie?

Ja muszę przede wszystkim podejść bardzo zawodowo, żeby to widzowie poczuili te emocje. Jeśli podszedłbym do tych pieśni wyłącznie emocjonalnie, to pewnie nieraz bym musiał w czasie koncertu w niektórych momentach uronić łezkę. A zadaniem aktora jest te emocje opanowywać, aby je odpowiednio przedstawiać. Dlatego traktuję to w tym sensie jako zadanie aktorskie. Dzięki temu widać potem, jak niektóre osoby z widowni wycierają sobie chusteczkami oczy w trakcie jednej czy drugiej piosenki i jak trudno im też opanować. To też jest kolejny dowód na to, jak są to osobiste rzeczy i kolejny argument za tym, by do tego jak najczęściej wracać.

Śpiewał Pan już w czasach licealnych, potem brał udział w kabaretach i wystąpił nawet na festiwalu w Opolu. Co sprawiło, że postanowił Pan jednak pójść w stronę aktorstwa, a nie muzyki?



Artur Żmijewski: Jeśli podszedłbym do tych pieśni wyłącznie emocjonalnie, to pewnie nieraz bym musiał w czasie koncertu w niektórych momentach uronić łezkę

Mój pomysł na zawód był taki, że ja najpierw chciałem być aktorem. I jako kandydat do tej profesji trafiłem do środowiska, w którym wykonywało się poezję śpiewaną. To mnie bardzo wciągnęło. Dlatego zacząłem to robić równoległe z braniem udziału w konkursach recytatorskich wszelkiego rodzaju, ta moja działalność szła więc dwutorowo. Pewnie gdyby studia aktorskie nie były tak absorbujące co do zasady, bo wta jemniczeni wiedzą, że pierwszy rok studiów w szkole teatralnej to chyba aż 65 godzin zajęć tygodniowo, co nie daje szansy na zajmowanie się czym innym, to wtedy nie musiałbym zrezygnować z grania i śpiewania. Musiałem jednak coś wybrać. Ale ta muzyka cały czas była w moim życiu obecna. Chętnie chodziłem na koncerty, zabierałem na nie dzieci. Raz na jakiś czas Jurek Satanowski zapraszał mnie

do swych różnych przedsięwzięć: Okudżawy, Wysokiego czy Cohena właśnie. Czyli to nie było tak, że w ogóle zerwałem ze śpiewaniem. Faktem jednak jest, że nigdy wcześniej nie przygotowałem tak obszernego recitalu, jak ten obecny. Bo w tych przedstawieniach zbiorowych Jerzego zazwyczaj śpiewałem dwie solowe piosenki oraz jedną z wszystkimi – i na tym się to kończyło. A tu jest aż trzynaście piosenek, które muszę zaśpiewać solowo czy z Evą & Shandy.

Jeszcze na studiach zagrał Pan rolę Gustawa-Konrada w „Lawie” Tadeusza Konwickiego według „Dziadów” Adama Mickiewicza. To musiało być dla młodego adepta aktorstwa wielkie przeżycie. Bardzo. Byłem wtedy studentem trzeciego roku, kiedy to robiliśmy. Na planie „Lawy” spotkałem się z Teresą Bu-

dzisz-Krzyżanowską, Gustawem Holoubkiem, Henrykiem Bistą czy Grażyną Szapołowską. Ale też z wieloma kolegami z uczelni, choćby z Maciejem Orłosiem, który grał ze mną w scenach więziennych. To było dla nas fantastyczne doświadczenie, które nauczyło mnie, że kiedy wychodzi się spod szkolnego kłosa, praca idzie tylko na mój rachunek. Nikt mnie nie poklepie po plecach i nie powie: „To nie twoja wina, że ci się nie udało”. Chwilę po zakończeniu zdjęć do „Lawy” zaprosił mnie do współpracy Krzysztof Zanussi, który obsadził mnie ze moimi ówczesnymi profesorami z uczelni w „Stanie posiadania”. Maja Komorowska była moją matką, a Krystyna Janda kochanką. Z kolei Andrzej Łapicki, który był opiekunem naszego roku, zagrał mojego ojca, był to więc skok na głęboką wodę.

Popularność przyniosło Panu zupełnie inne kino, czyli „Psy” Władysława Pasikowskiego. To była duża odmiana po Mickiewiczu?

Bardzo duża. Za sprawą „Lawy” zacząłem być kojarzony z romantycznymi rolami i tylko tego przez pewien czas ode mnie wymagano. Nic więc dziwnego, że zaczęło mi się to w pewnym momencie nudzić. Wtedy Wojtek Wójcik obsadził mnie jako Mruka w „Trzech dniach bez wyroku”, co trochę ten wizerunek przełamało. A taka totalna odmiana nastąpiła faktycznie u Władka Pasikowskiego w „Psach”.

Zagrał Pan w czterech filmach Pasikowskiego. Miał Pan z tym reżyserem wyjątkowe porozumienie?

Na tamtym etapie bardzo dobrze to funkcjonowało, potem nasze drogi się rozeszły. Przez pewien czas Władek nie robił specjalnie dużo filmów, a ja się zaangażowałem w pewne długotrwałe przedsięwzięcia. Ale tak to jest w naszym zawodzie: ludzie spotykają się, potem rozchodzą się, a jeszcze później znowu się spotykają. W naszych kontaktach zadziałała więc również taka zasada sinusoidy.

Pierwsze długotrwałe przedsięwzięcie w Pana karierze to doktor Burski w „Na dobre i na złe”. To trzynaście lat Pana życia. Warto było je poświęcić temu serialowi?

Tak. To był serial, który przyniósł mi ogromną przyjemność pracy. Poznałem tam cudownych ludzi i było to wielką szkołą zawodu dla mnie. Właśnie wtedy wiele rzeczy sobie uświadomiłem i zrozumiałem. Nikt w tamtym czasie nie zarzucał nam, aktorom, że gramy w takim serialu. Przecież wszyscy wielcy chcieli wówczas brać udział w tym przedsięwzięciu. Tam grali Daniel Olbrychski, Jan Englert, Maja Komorowska. Na planie panowała miła i kreatywna atmosfera. Do tego mieliśmy do czynienia z cudownym odbiorem publiczności.

Z kolei siedemnaście lat Pana życia to „Ojciec Mateusz”. Woli pan być księdzem czy lekarzem?

Szczęśliwi czasu nie liczą. (Śmiech) Nie wiadomo jeszcze, jak długo przyjdzie mi grać księdza Mateusza, ale nie zastanawiam się jakoś specjalnie nad tym. Lekarzem nie jestem już od wielu lat, bo chyba przy drugim sezonie „Księdza Mateusza” rozstałem się z „Na dobre i na złe”. I w tej chwili to jest już zupełnie inne przedsięwzięcie, kto inny się tam dobrze czuje, trudno by mi było więc wejść do tej rzeki ponownie. Ale niezwykle sobie cenię cały ten czas pracy przy tym

serialu i uważam, że był fantastyczny zarówno dla mnie, jak i dla widzów.

A w której postaci się Pan bardziej odnajduje?

Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. To coś z kategorii „Które dziecko kochasz bardziej?”. Moim narzędziem pracy jest moje ciało i umysł, właściwie cały człowiek. Kiedy się ubieram w kitel, to jestem lekarzem. Kiedy zakładam sutannę, to jestem księdzem. W każdej postaci zostawiam jakiś fragment swojego myślenia i swojego doświadczenia. I teraz jakbym miał wartościować, w której więcej, a w której mniej, to nie potrafię odpowiedzieć.

Kiedy robiłem wywiad z Kingą Preis, powiedziała, że „Ksiądz Mateusz” to dla niej tylko „radość i zabawa”. Pan też tak podchodzi do tego serialu?

Zdecydowanie tak. Pewnie dlatego tak długo ze sobą wytrzymujemy, że my się tam wszyscy po prostu lubimy. Nastąpił taki układ gwiazd, że spotkała się taka ekipa i tacy ludzie ze sobą zaczęli pracować, iż jest im ze sobą dobrze. Oczywiście niektóre osoby się zmieniają, w ekipie technicznej czy w obsadzie, w związku z innymi zajęciami czy dramatycznymi zwrotami akcji. Niektórzy odchodzą na niedługo, a niektórzy na zawsze. Takie rzeczy się zdarzają. Ale ciągle mamy frajdę z tego, że spotykamy się ze sobą, lubimy ze sobą gadać i spędzać czas, grać kolejne sceny. Poza tym niby to jest format serialu, ale za każdym razem opowiadamy inną historię, czyli jakby kręcimy nowy film. Opowiadane jest to w sposób fabularny, a nie sitcomowy. Nie siedzimy w studiu przez dwadzieścia godzin z rzędu, tylko mamy zdjęcia w plenerze w różnych miejscach. Często w takich, które znamy i odwiedzaliśmy je wielokrotnie, ale czasem w takich, w których nigdy wcześniej nie byliśmy. Poznajemy też nowych ludzi i nowe sytuacje, jest to więc dla nas ciągle swego rodzaju przygoda.

Widzowie jak to widzowie – kiedy mają ukochany serial, to zawsze utożsamiają aktora z graną przez niego postacią. Tak pewnie jest z Panem i księdzem Mateuszem. To nie jest dla Pana uciążliwe? Nie, przyzwyczaiłem się do tego. Jasne – zdarzają się śmieszne sytuacje, ale nie są one raczej przekładalne na język pisany.

Trochę rzadko widzujemy Pana w kinie. A takie filmy, jak „Atak paniki” czy „Czarny mercedes”, pokazują, że można mieć ciekawy pomysł na Artura Żmijewskiego. Brakuje Panu takich propozycji?

Nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo ostatnio byłem mocno zajęty – czy to serialem, czy koncertami. Nie zapominajmy też, że w ubiegłym roku odbyła się premiera filmu, który wyreżyserowałem – „Sami swoi. Początek”. Nie odczuwam więc tego braku na co dzień. Natomiast skoro pan o to zapytał – to tak, owszem, od czasu „Czarnego mercedesa” nie zagrałem jakiegś fajnej roli w kinie, która by była dla mnie satysfakcjonująca. I nie ukrywam, że z chęcią byłbym się do tego przymierzył.

„Sami swoi. Początek” okazali się sukcesem w kinach i w streamingu. Zachęciło to Pana do dalszych tego rodzaju przedsięwzięć?

Z przyjemnością wyreżyseruję jeszcze jakąś fajną historię, która trafi w moje ręce, bo reżyseria jest dla mnie bardzo inspirowająca. Kiedy stanąłem za kamerą kilkanaście lat temu po raz pierwszy, uświadomiło mi to kilka rzeczy w aktorstwie. Ponieważ jako reżyser stałem czasem razem z kolegami aktorami, to wymagałem od siebie tego, czego od nich. To uczy pokory i jeszcze lepszego zrozumienia ograniczeń i niuansów aktorstwa. Dlatego to dla mnie bardzo pouczające doświadczenie.

Askał pomysł na reżyserowanie?

Życie samo mnie tak pokierowało. Najpierw miałem przedstawienie w teatrze, potem w telewizji, później reżyserowałem „Na dobre i na złe” i „Ojca Mateusza” i wreszcie „Sami swoi. Początek”. Miałem więc pewne doświadczenie, zanim stanąłem za kamerą przy kinowym filmie.

„Sami swoi. Początek” to wielka produkcja, a poradził Pan sobie całkiem dobrze.

To było bardzo ciekawe doświadczenie. Może jeśli chodzi o rodzaj pracy, to nie było to tak bardzo odmienne od tego, co robię przy „Ojcu Mateuszu”. Z tą jedną różnicą, że jeśli przy serialu nie da się jakiegoś wątku fajnie rozwiązać w danym odcinku, to można go potem rozwinąć i dopowiedzieć w kolejnym. A w filmie musimy stworzyć i rozwinąć wszystkie wątki w ciągu dwóch godzin i potem już nie ma możliwości poprawki. To odróżnia serial od filmu. W serialu da się coś naprawić w kolejnym odcinku, a w filmie kinowym robimy coś zawsze tylko jeden jedyny raz.

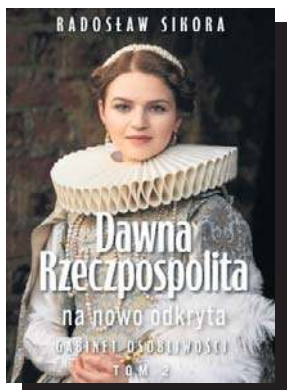
Gdzie Pan szuka odpoczynku od filmów, seriali i koncertów?

W ciszy i spokoju, w lesie na spacerach, w byciu z bliskimi. Żeby nie gadać o sprawach zawodowych, tylko miło spędzać razem czas. To jest dla mnie najważniejsze.



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Mariusz Grabowski



„Brudny jak Francuz” i „Wymyty jak Polak”

Ukazał się drugi tom ciekawostek staropolskich Radosława Sikory, historyka, publicysty i autora specjalizującego się w historii nowożytnej, zwłaszcza w dziejach Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz husarii. Korzystając z szerokiego wachlarza źródeł, w tym archiwalnych dokumentów, pokazuje nam bogaty kontekst społeczny, kulturowy i militarny opisywanych wydarzeń. Nie stroniąc od elementów humorystycznych.

Husarski sznyt

Tom drugi „Dawnej Rzeczypospolitej” posiada nawet stosowny podtytuł: „Gabinet osobliwości”. Znalazły się w nim rozdziały m.in. o dobywaniu szabel podczas Mszy Świętej, o staropolskich zwyczajach ślubnych, o imię Zabłockim i mydlanych asocjacjach, o dawnym handlu w niedzielę i święta, o pogardzie Polaków do Niemców (bo „Niemca wolność w oczy bodzie”), a nawet o „beZRĘkim husarzu, który Moskwę gromił”.

Temat husarii musiał się tu pojawić niejako z konieczności. W wywiadzie dla histmag.org w 2015 r. Sikora mówił: „Husaria była formacją uniwersalna, w tym sensie, że mogła i wypełniała bardzo różnorodne zadania. Co nie znaczy, że zawsze miało to ekonomiczny sens. Po co używać husarzy jako piechoty, jeśli koszt piechura był wielokrotnie niższy? Jednak wtedy, gdy piechoty nie było pod ręką, a zadanie wymagało zejścia z koni, husarze walczyli spieszeni”. Czasem heroicznie, jak ów beZRĘki wojak.

Bez kompleksów

Równie wdzięcznym tematem do żartów są dzieje kulturowych związków Polski i Francji. W rozdziałach „Brudny jak Francuz” i „Wymyty jak Polak” Sikora dowodzi, że wbrew stereotypom to my wiedliśmy ongiś prym w dziedzinie czystości.

Król Henryk IV słynął z tego, że śmierdzący czując abominację do wody. A jego syn Ludwik XIII po raz pierwszy zetknął się z wodą „całościowo” w wieku siedmiu lat. Francuzi łaźniak nie znali, a przekonanie, że są pępkiem świata, zastępowało im higienę.

Na tle XVII-wiecznej Francji Rzeczpospolita jawiła się jak SPA. Łazienki były na Zamku Królewskim, w pałacach, dworach, a nawet prowincjonalnych siedzibach szlacheckich. W sporządzonym w 1603 r. „Folwarku lipnickim” stoi, że wśród budynków wokół dworu (m.in. stajni i lodowni) znalazła się też „komórka potrzebna”, czyli wychodek, oraz „łaźnia z sienią i światelką małąską”.

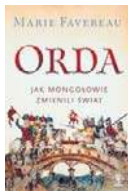
Radosław Sikora, „Dawna Rzeczpospolita na nowo odkryta”, tom 2, wyd. Zona Zero, Warszawa 2025, cena 89,90 zł



Artystyczna podróż z Witebska do Paryża

Marc Chagall pochodził z terenów dzisiejszej Białorusi, a urodził się w 1887 r. jako najstarsze z dziewięciorga dzieci żydowskiego handlarza śledziami. Z tego wyrosło całe jego malarstwo.

Jackie Wullschläger, „Chagall”, wyd. Marginesy 2025, cena 89,90 zł



O Złotej Ordzie, ale inaczej

Marie Favereau pokazuje, że osiągnięcia Mongołów nie ograniczały się do wojowania. Przez 300 lat Orda była siłą napędową globalnego rozwoju: w Rosji, Azji Środkowej i na Bliskim Wschodzie.

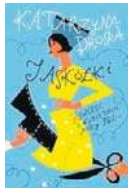
Marie Favereau, „Orda. Jak Mongołowie zmienili świat”, wyd. Rebis 2025, cena 89 zł



Patrzę na płótna, myślę o ludzkim ciele

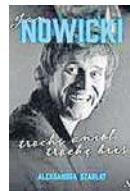
Tajemnice ludzkiego ciała hiszpański paleoantropolog Juan Luis Arsuaga odkrywa... w Muzeum Prado. Przez pryzmat dzieł mistrzów pokazuje, jak inspirowało ono artystów od starożytności po nowożytność.

Juan Luis Arsuaga, „Ciało”, wyd. Znak 2025, cena 99,99 zł



O Graboletcie w słynnym turbanie

Opowieść o modzie w PRL-u ubrana w szaty powieści. W roli głównej Jadwiga Grabowska, dyrektorka Mody Polskiej, przed którą – jak pisze Katarzyna Droga – drżeli ponoć nawet partyjni oficjele. Katarzyna Droga, „Jaskółki. Powieść o kobietach mody PRL-u”, wyd. Znak 2025, cena 49,99 zł



Splątanymi śladami Jana Nowickiego

Sławę zyskał dzięki rolowi w „Wielkim Szu”, „Sanatorium pod Klepsydrą” i „Biesach”. Przez lata występował w Starym Teatrze. Mawiał: „Bez kwalifikacji do życia powiodło mi się w aktorstwie”.

Aleksandra Szarłat, „Nowicki. Trochę anioł, trochę bies”, wyd. Agora 2025, cena 89,99 zł



Mit „szlachetnego” Wehrmachtu

Wykaz zbrodni wojennych popełnionych przez Wehrmacht w 1939 r. Tom pierwszy skupia się na zbrodniach, do których dochodziło w następstwie walk lub po jej zakończeniu.

Tomasz Sudół, „Zbrodnie wojenne Wehrmachtu”, tom 1, wyd. IPN 2025, cena 65 zł



Co zostało z dawnego Highlands?

Patrycja Bukalska zabiera czytelników w podróż po śladach dawnych mieszkańców Highlands. To niezwykle miejsce do dziś skrywa tajemnice w swojej ziemi i archiwach.

Patrycja Bukalska, „Ziemia jednorożca. Podróż po Szkocji”, wyd. Czarne 2025, cena 52 zł



Rozliczenia z przeszłością

Maciej Hen, syn Józefa, wspomina epokę wczesnego PRL-u. Kreśli obraz życia codziennego widziany oczami dziecka. Żydowski chłopiec z warszawskiej inteligencji czyta książki, słucha Beatlesów, marzy o zostaniu artystą.

Maciej Hen, „Tratwa z pomarańczami”, wyd. Filtry 2025, cena 59,90 zł



Niewiadomski strzela do Narutowicza

Oprócz rekonstrukcji CV autor analizuje osobowość Eligiusza Niewiadomskiego, jego światopogląd, a także wpływ sytuacji społeczno-politycznej na jego tragiczny w skutkach czyn.

Tomasz Sikorski, „Eligiusz Niewiadomski”, wyd. PIW 2025, cena 89 zł



Ślad jak po cięciu mieczem

Pierre-François Souyri bez pardonowo rozprawia się ze stereotypem samuraja i pokazuje, co naprawdę kryło się za maską bushido: przemoc, zdrada, polityka i... paradoksy.

Pierre-François Souyri, „Wojownicy z pól ryżowych”, wyd. Znak 2025, cena 69,99 zł



Pierwszy komandos podziemia

Legendarny „Major” to Dariusz Olszewski – wrocławski działacz opozycji lat 80., powiązany z podziemnymi strukturami dolnośląskiej „S”, a następnie członek Solidarności Walczącej.

Joanna Dardzińska, „>Errata<< Majora”, wyd. IPN 2025, cena 40 zł



Żyjąc w powojennej zawierusze

Przejmująca przypowieść Jakuba Jarno o Wandzie Jeżyńskiej – urodzonej w ostatnich dniach wojny dziewczynie – próbującej okiełznać największy z istniejących żywiołów i zawrócić bieg własnego losu.

Jakub Jarno, „Kontury”, Wydawnictwo Literackie 2025, cena 49,90 zł



Marek Perepeczko, czyli „Janosik”

Od spektakularnej kariery na przełomie lat 60. i 70., po emigrację na Antypody i powrót na ekrany. Do tego trudna historia miłości do ukochanej kobiety i przygody z teatrem pod koniec życia.

Marek Szymański, „Samotność Janosika”, wyd. Rebis 2025, cena 79 zł



Polacy na celowniku NKWD

Teksty historyków z Polski, Rosji, Ukrainy i Białorusi ukazują wymiar represji wymierzonych w Polaków – obywateli ZSRR – oraz inne narodowości uznane za „niełojalne”.

„>>Operacja polska NKWD 1937-1938<<. Przywracanie pamięci o zbrodni”, wyd. IPN 2025, cena 60 zł



Hanna Krall tłumaczy świat

Opowieść popularnej reporterki Hanny Krall o XX i XXI w. Poznajemy świat z jej punktu widzenia. A także wiele szczegółów, o których nigdy wcześniej nikomu nie mówiła.

„Hanna Krall. Pożegnanie z Narwią”, Wydawnictwo Literackie 2025, cena 54,90 zł



Wśród cieni z tamtych lat

Kryminalny Sosnowiec lat 90. i jego dzisiejsze echa. Podczas rozbiórki fińskiego domu odnalezione zostają ludzkie szczątki. Śledztwo prowadzi podkomisarz Laura Halber, nękana przez demony przeszłości.

Przemysław Żarski, „Ferment”, Wydawnictwo Literackie 2025, cena 49,90 zł

0011413710

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci
naszego Pracownika Rejonu Dystrybucji Żary

ś†p

Henryka Śledzia

Wyrazy szczerego współczucia
Rodzinie i Bliskim

składają

*Dyrekcja i Pracownicy
Enea Operator Sp. z o.o.
Oddział Dystrybucji Zielona Góra*

0011413643

Z żalem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci naszej Członkini

ś†p

Barbary Kin

Wyrazy głębokiego współczucia
Rodzinie

składają

*Zarząd i Członkowie
Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry*

0011408122

W trzecią rocznicę odejścia do wieczności

ś†p

Marii Teresy Żeromskiej

(z domu Nasiadek)

mojej Kochanej Żony, naszej Mamy, Babci i Siostry.
Za spokój Jej Duszy oraz za Jej Rodziców i Teściów,
19 października 2025 r. odprawiona zostanie
Msza Św. o godz. 10.30
w kościele pw. św. Józefa Oblubieńca,
ul. Prosta 47 w Zielonej Górze.

Rodzina

0011413777

*„Ci, których kochamy, nie umierają nigdy,
bo miłość, to nieśmiertelność...”*

Naszej Koleżance
Teresie Grela

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Męża i Zięcia

składają

*Rada Nadzorcza, Zarząd oraz pracownicy „Społem”
Powszechna Spółdzielnia Spożywców
w Zielonej Górze*

0011414065

Z głębokim smutkiem i żalem zawiadamiamy,
że 8 października 2025 r. odszedł od Nas w wieku 79 lat
kochany Tata, Zięć i Brat

ś†p

Władysław Kwiatkowski

Pogrzeb odbędzie się we wtorek 14 października 2025 r.
o godz. 11.10 na Starym Cmentarzu Komunalnym
w Zielonej Górze. Pożegnanie w kaplicy od godz. 10.40.
Msza św. w intencji Zmarłego odbędzie się
w dniu pogrzebu w kościele
w Starym Kisielinie o godz. 9.30.

Pograżona w smutku
Rodzina

0011412861

*„Ci, których kochamy, nie umierają nigdy,
bo miłość to nieśmiertelność...”*

Naszej Koleżance
Agnieszce Krasińskiej

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Męża i Taty

składają

*Rada Nadzorcza, Zarząd oraz pracownicy
„Społem” Powszechna Spółdzielnia Spożywców
w Zielonej Górze*

DROBNE

NASZE BIURA OGŁOSZEŃ

ZIELONA GÓRA al. Niepodległości 25, tel. 510 026 976;
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl
GORZÓW WLKP. ul. Sikorskiego 111 (Park 111, II p.); tel. 510 026 986;
e-mail: bog.gazetalubuska@polskapress.pl
SŁUBICE ul. T. Kościuszki 6/1; tel. 95 75 80 760;
e-mail: bos@gazetalubuska.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

MIESZKANIE w Lubsku 76m² przy ul.

Reja cena do negocjacji tel. 664401979

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ każde Mieszkanie lub Dom

z dowolnym problemem prawnym,

też Udziały, możliwa zamiana tel.

513474366, www.lcf.com.pl

DOMY - SPRZEDAM

Sprzedam dom w Szprotawie 750

tyś zł, możliwa zamiana z dopłatą

za mieszkanie 3-pokojowe

(poniemieckie) chętnie z garażem

w powiecie Zielona Góra lub

Nowa Sól tel. 880 710 607

Praca

ZATRUDNIĘ

W gospodarstwie mlecznym,

z doświad.- zamieszkanie, 517-433-784

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

SZPACHLOWANIE, malowanie tel.

512594490

MONTAŻOWE

OKNA, bramy drzwi, roletki,

naprawy okien, montaż PlastMat. Tel.

68 470 19 70, Wrocławska 35.

OKNA- rolety. Montaż- regulacja-

naprawa. Ptasia 32/7B, tel.

535 530 555

INNE

STUDNIE głębinowe. Tel. 883 982 224

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE
BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie
zlecisz przez Internetowe Biuro
Ogłoszeń: **ibo.polskapress.pl**

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic -

tradycyjne turnusy Świąteczne,

tel.: 501-642-492.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny

rolne. Tel. 535135507.

REKLAMA

0011406804

INFORMATOR POGRZEBOWY

AD PATRES (J. Mądry) przewóz zmarłych całą dobę, bezgotówkowa
organizacja pogrzebów, Zielona Góra, ul. Wrocławska 68,
tel. **68-3208517, 601760685.**

PRO MORTE Gorzów Wlkp. ul. Żwirowa 19E, tel. **95-7810083**
Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe 24 h

MIEJSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY Zielona Góra, Masarska 13,
tel. **68-3202235, 68-3202232,** przewóz zwłok, kompleksowa obsługa
pogrzebów **601798365** całą dobę.

KAMIŃSCY Zielona Góra, ul. Kościelna 4, Zyty 19, tel. **693 424 440;**
68-3230509 oraz Polkowice ul. Spokojna 1; Legnica ul. Chojnowska 7;
Szprotawa ul. Kościuszki 31A przewóz zmarłych 24 godz.,
kompleksowa organizacja pogrzebów oraz transmisja pogrzebu online.

REKLAMA

0011244343

**ZŁOMOWANIE
POJAZDÓW**
tel. **600 609 606**

Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

Cenimy
Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

REKLAMA

0011359393

maki 64-113 Osieczna, Ziemińce 40i
SKUP ŻYWCA © 609 630 005 601 19 19 44

**Szybki odbiór
Super ceny
Najlepsza obsługa
Przelew do 72 h**

Kupujemy MACIORY, KNURY I TUCZNIKI wszystkie strefy ASF

A u Ciebie
był już
makiman?

Krzyżówka panoramiczna

wełniany płaszcz o prostym kroju
".... na dwa serca"

laboratorium z retortami

baśniowa postać nazwa

biel lub granat

dawny taniec francuski

... Kołodziej widli-szek

przed marcem

cecha krasomówcy

polski taniec ludowy

długa żerdź głoś męski

8

dźwiga odważ-niki

Jose Carre-ras

3

1

7

11

17

4

13

14

15

roślina na kawę zbo-zową

stolica Korei Połud-niowej

dawny sklep mięsny

doty-kowy w smart-fonie

Delon lub Resnais

bożek miłości

rodzi-cielka

odtwa-rzacz mp3

miękka tkanina

np. plan miasta

kon-kurent „Bryzy”

nasia-dówka u prezesa

2

5

6

10

12

16

23

strączyniec

waluta Brazylii

sol na pięcio-linii

zespół Roberta Gawliń-skiego

Zając lub Kreg-licka

wygląd zew-nętrzny

Hiszpan do kumpla:
– Zrobiłem sobie tatuaż imienia mojej sympatii!
– Świetnie, ale co, jeśli zerwiecie?
– Powiem, że to ...

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą rozwiązanie – dokończenie dowcipu z okienka.

Krzyżówka A-Ż

Każdy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

- A) ... Jerozolimskie, reprezentacyjna ulica w stolicy (5).
- B) miękki ser podpuszczkowy rodem z Francji (4).
- C) władca dawnego Egiptu (ma piramidę) (6).
- D) partyjny aktywista; propagandysta (8).
- E) solenizantka z 5 lipca (8).
- F) pionowa podpora mostu (5).
- G) piękna żona legendarnego króla Artura (7).
- H) drapieżnik z afrykańskiej sawanny (5).
- I) średniowieczni wędrowni kuglarze (5).
- J) złożone z sędziów konkursowych (4).
- K) codzienna robocza monotonia (6).
- L) starożytna nazwa Sparty (9).

Ż

A

...

- Ł) wykonawczyni przeboju „W złotych płomieniach liści” (5,4).
- M) ... Welt, postać z „Ziemi obiecanej” (5).
- N) bezsilność, słabość (6).
- O) drzewo liściaste podmokłych terenów (5).
- P) bystry w potoku, nurt (4).
- R) piesek z kreskówki (6).
- S) Bona ..., polska królowa, żona Zygmunta Starego (6).
- T) zbytnia pewność siebie (5).
- U) zbyt szybko przemija (5).
- W) woda o temperaturze około 100 st. C (5).
- Z) Jerzy, aktor kojarzony z rolą w filmie „Faraon” (6).
- Ż) muzyczne talerze, czyniele (4).

Krzyżówka z hasłem

1 2 3 4 5 6

8 11 4 9 10 11

12 16 13 2

17 10 17 18 19 20 21

22 7 8 9

13

3

7

18

15

5

14

15

16

12

23

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 18 utworzą rozwiązanie – myśl Cycerona.

Poziomo:

1) mieszanina, miszmasz,

7) wykorzystywanie robotników,

8) strata, szwank,

9) pierścień z herbem,

12) harap, bicz,

13) praca przy krosnach,

15) hinduski bóg miłości,

17) drugi okres mezozoiku,

18) sposób walki na morzu,

22) talizman, amulet,

23) dwutakt z NRD.

Pionowo:

1) Miki z kreskówki,

2) ortopeda lub chirurg,

3) waga ciała ponad normę,

4) dawne narzędzie tortur,

5) miasto nad Rodanem,

6) śląska gra w karty,

9) generałny w wojsku,

10) poemat Byrona,

11) wrocławski kabaret,

14) zupa na zakwasie,

15) plemienny przywódca,

16) słup z flagą,

19) obraca się w zegarku,

20) godność osobista,

21) mierzony w tyfnach.

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 18 utworzą rozwiązanie – myśl Cycerona.

- Poziomo:

1) mieszanina, miszmasz,

7) wykorzystywanie robotników,

8) strata, szwank,

9) pierścień z herbem,

12) harap, bicz,

13) praca przy krosnach,

15) hinduski bóg miłości,

17) drugi okres mezozoiku,

18) sposób walki na morzu,

22) talizman, amulet,

23) dwutakt z NRD.

Pionowo:

1) Miki z kreskówki,

2) ortopeda lub chirurg,

3) waga ciała ponad normę,

4) dawne narzędzie tortur,

5) miasto nad Rodanem,

6) śląska gra w karty,

9) generałny w wojsku,

10) poemat Byrona,

11) wrocławski kabaret,

14) zupa na zakwasie,

15) plemienny przywódca,

16) słup z flagą,

19) obraca się w zegarku,

20) godność osobista,

21) mierzony w tyfnach.

bogini z opaską na oczach

uchwyt słusarski

silna zazdrość

roślina włóknodajna

papier do wykłaniania ścian

WIRÓWKA PANORAMICZNA

dawne Włochy

pewna liczba akcji

bohater „Placówki”

czynność we „Frani”

np. „Czas honoru”

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kreską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie – przysłowie.

Duet jolek

B

B

B

B

W diagramach ujawniono wszystkie litery „B”. Litery czytane wzdłuż linii przerywanej (w obu diagramach), utworzą rozwiązanie: tytuł filmu.

W przypadkowej kolejności:

– Nobla lub Pulitzera

– zachłanna osoba; dusigrosz

– pokój dla letnika

– marazm, zastój

– mecenas w todzie

– handluje sztuką ludową

– gubi igły zimą

– predyspozycje, możliwości

– dawna nazwa magazynu

– broni; arsenał

– rażąca część granatu

– Alec, aktor z USA („Polowanie na Czerwony Październik”)

– stały element czasopisma

Logogryf

1 2 3 4 5

...

Litery w polach z kropką czytane kolumnami utworzą rozwiązanie – tytuł filmu.

1) lek na wszystkie choroby,

2) rozpylacz do perfum,

3) niezdara, safandula,

4) sala z „Atlasem”,

5) „... z Wall Street”.

Krzyżówka

1 2 3

4

5

6

Litery z pól oznaczonych kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

4, 5, 6) efekt marnotrawstwa, bezmyślności lub wypadku samochodowego.

Pionowo:

1) dekoracyjne zwieńczenie elewacji budynku,

2) żartobliwie o pieniądzech,

3) skwarki do pierogów.

Szyfr

2 14 3 13 6

11

9

7 1 12 8 5

Litery z pól od 1 do 14 utworzą rozwiązanie: imię i nazwisko aktora.

Poziomo:

2) makaron do rosółu,

7) niezbyt inteligentny.

Pionowo:

2) pole działania,

13) drzewo - dostawca syropu.

Rozwiązania

A-Ż: biennale.
„Anatomia miłości”, krzyżówka
Antoni Pawlicki; logogryf:
Jolek: „Czarna wdowa”; szyfr:
krzyżówka: manko; duet
hasłem: Każdy zysk jest dobry;
Miłość zasłania; krzyżówka z
włóknem: każde rozwiązanie
... nazwa mojego jachtu;
krzyżówka panoramiczna:

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

ROZWIĄZANIE: MILCZENIE JEST SKARBEM POLITYKI.

Martin Vaculik opuszcza Stal, a Piotr Świst liczy na zaufanie

Jarosław Miłkowski
jmillkowski@gazetalubuska.pl

ŻUŻEL. - Stal zawsze pozostanie w moim sercu - mówi Słowak Martin Vaculik po ostatnim meczu Gezet Stali Gorzów. A trener Piotr Świst stwierdził, że przyszło mu się mierzyć z hejtem.

Gorzowski zespół, po zwycięskim barażowym dwumeczu z Polonią Bydgoszcz, zapewnił sobie utrzymanie w PGE Ekstralidze. Po ostatnim spotkaniu w sezonie rozmawialiśmy z jednym z liderów żółto-niebieskich Martinem Vaculikiem oraz z trenerem drużyny Piotrem Świstem.

Martin Vaculik: - Jest pora, by porwać się na nowe wyzwania.

Po siedmiu sezonach w Stali Gorzów jesteś najsukuteczniejszym obcokrajowcem w historii klubu.

Bardzo się z tego cieszę. Siedem sezonów to cudowny czas. Cieszę się, że Stal utrzymała się w ekstralidze. Chcę podziękować za te lata. Stal zawsze pozostanie w moim sercu, zawsze będę jej kibicował, bez względu na to, gdzie będę jeździł. Przeżyłem tu fantastyczny czas. Były wygrane, były porażki, ale taki jest sport. Bardzo dziękuję kibicom, którzy są z nami bez względu na to, czy wygrywamy, czy przegrywamy.

Przychodząc do Stali Gorzów przypuszczałeś, że tyle się uzbiera - 118 meczów, 1188 punktów?

Dla mnie to kawał historii. Cieszę się, że mogłem punktować na wysokim poziomie.



Martin Vaculik (po lewej) na torze, a Piotr Świst w roli trenera utrzymali Stal w ekstralidze

Jaki moment zapadł tobie w pamięci najbardziej?

Na pożegnanie dostałem od działaczy bardzo ładny obraz, który był złożony z różnych zdjęć. Jedno z nich było zrobione, gdy kilka lat temu stałem na bandzie po wygranym meczu w Częstochowie. To właśnie charakteryzuje mnie i Stal - emocje i chęć wygrywania. To zdjęcie mówi wszystko.

Skoro masz takie piękne wspomnienie, dlaczego odchodzisz ze Stali?

Takie jest życie. Czuję, że w tym miejscu dałem z siebie wszystko. Człowiek potrzebuje też nowych bodźców. Jest też pora, by porwać się na nowe wyzwania.

Czy to przełożyło się też na jazdę w cyklu Grand Prix?

Bo ten sezon był, co tu dużo mówić, mizerny...

To był ciężki sezon. Patrząc na moją średnią, to nie jeden zawodnik chciałby mieć taką [2,042 pkt./bieg - red.]. W dzisiejszych czasach jeszcze większe znaczenie, niż postawa zawodnika, ma dopasowanie sprzętu. A ja w tym roku miałem z tym problemy. To się odbiło też na jazdę w Grand Prix.

A jak czujesz się fizycznie po tym sezonie? Trochę lat już jeździsz.

Nie jestem najmłodszy, ale też nie jestem najstarszy. Generalnie prowadzę bardzo zdrowy tryb życia i wydolnościowo jestem bardzo sprawny. Nie wyobrażam sobie dnia, że nie wyjdę pobiegać, na rower czy potrenować. Czuję się dziesięć lat młodszy niż jestem [Martin Vaculik ma 35 lat - red.].

Czy widzisz się w żużlu aż do pięćdziesiątki?

Nie będę wróżył. Na pewno jednak wiek sportowców się wydłuża. Cały czas wierzę i jestem przekonany, że najlepsze lata przede mną.

Co dała tobie jazda na gorzowskim torze? Bo gdy Tomasz Gollob jeździł w Stali, zdobył tytuł mistrza świata, Krzysztof Kasprzak - srebro, a Niels Kristian Iversen - brąz. Ty też medał w Grand Prix zdobyłeś, jeżdżąc w Stali.

Gorzowski tor to specyficzny obiekt. Jest torem technicznym i na pewno daje zawodnikowi ostrość w jeździe. Tu trzeba patrzeć w lewo, w prawo, wiele się na tym torze dzieje i to daje zawodnikowi możliwość nauki szybkiej reakcji na wydarzenia. To jeden z moich ulubionych torów.

Skoro zrezygnowałeś z walki o awans do Grand Prix, pozostają tylko rozgrywki ligowe. Nie będziesz się nudził w domu?

Nie będę się nudził, bo mam plan jeździć w innych zawodach. Na pewno nie będę ścigał się rzadziej.

Czyli zdecydujesz się na starty w innej lidze niż tylko polska? Przyjdzie jeszcze czas, by na to pytanie odpowiedzieć.

Komu byś przekazał opaskę kapitana Stali?

Widzę w tej roli jednego mojego koleżę.

Andersa Thomsena? [uśmiech]

A chciałbyś kiedyś wspólnie z Bartoszem Zmarzlikiem wrócić do Stali?

To ciężkie pytanie. Życie może napisać różne scenariusze.

Piotr Świst: - Nawet jak było dobrze, to było źle

Co pan czuje po zwycięskim dwumeczu z Polonią Bydgoszcz?

Radość i ulgę. Wreszcie to ciśnienie z człowieka zeszło.

W którym momencie spotkania w Gorzowie poczuł pan tę ulgę?

Gdy Oskar [Paluch - red.] z Hubertem [Jabłońskim - red.] przywieźli 5:1. Wtedy postawiłmy kropkę nad i.

A który moment sezonu był dla pana najcięższy?

Cały sezon był ciężki. Jak tylko zacząłem pracę w klubie, to „jechało” po mnie cały czas. Ciągłe był hejt, ja nic dobrego o sobie nie przeczytałem.

Na okrągło było tylko „źle”, „źle” i „źle”. Nawet jak było dobrze, to było źle. Zawsze była wina Śwista.

Niemal w każdym meczu był inny układ składu drużyny. Dlaczego zdecydował się pan na takie niekonwencjonalne ruchy?

To jest moja decyzja. Pierwsze dwa mecze w tym sezonie pojechaliśmy standardowo. Nie wyszło, więc później trzeba było kombinować i układać skład pod danego rywala. W jednym zespole byli inni młodzieżowcy niż w drugim. Trzeba było więc przedstawiać skład.

Ile czasu opracowywanie tych wszystkich wariantów trenerowi zajmuje?

Zapraszam do mnie do domu. Zobaczcie, jak jest stół zastawiony i usłyszcie, co żona mówi o tych wszystkich programach...

Słyszeliśmy, że na każdy mecz ma pan kilkanaście-kilkadziesiąt wariantów.

Oczywiście. Zawsze tak się robi, żeby skład był najlepszy. Ja to układam, przychodzę z tym do Krzysia Orła [dyrektor sportowy Stali - red.], analizujemy, jeszcze raz przestawiamy, jeśli potrzeba.

Co musi się stać, żeby kolejny sezon miał pan spokojniejszy?

Żeby mi wreszcie zaufano. To był mój pierwszy sezon w roli trenera. Ja też się uczę, nie jestem alfą i omegą. Pewnie, że można się pomylić w jedną czy drugą stronę, ale ja się uczę. Tak, jak to jest w powiedzeniu, że człowiek całe życie się uczy, a głupim umiera. ©©

PIŁKARSKI WEEKEND

III liga

Mecze lubuskich drużyn: piątek - godz. 18.30: Lechia Zielona Góra - Górnik II Zabrze; sobota - godz. 14.00: Warta Gorzów - Miedź II Legnica, godz. 15.00: Carina Gubin - LKS Goczałkowice Zdrój, MKS Kluczbork - Stal Felgenhauer Jasień.

IV liga

Piątek - godz. 19.00: Odra Skrzynie Zając Bytom Odrański - Stal Sulęcín; sobota - godz. 11.00: Sprotavia Szprotawa - Piast Iłowa, godz. 12.00: Lechia II Zielona Góra - Czarni Żagań, godz. 14.00: Róża Różanki - Dozamet Connector Nowa Sól, ZAP Syrena Zbąszynek - Odra Nietków, godz. 15.00: Łucznik Strzelce Krajeńskie - Stilon Gorzów, godz. 16.00: Pogoń Skwierzyna - Ilanka Rzepin, Victoria Szczaniec - Pogoń Świebodzin; niedziela - godz. 15.00: Grupa



FOT. FACEBOOK/LECHIA ZIELONA GÓRA/KRZYCHA FOTKI

Chmiel Polonia Słubice - Zorza Port 2000 Mostki.
Klasa okręgowa - grupa zielonogórska
Sobota - godz. 13.00: Prościej Żary - Pogoń Wschowa, godz. 15.30: Budowlani Lubsko - Cargovia Kargowa, Błękitni Ołobok - Dąb Sława Przybyszów, Relax Grabice - Unia Kunice Żary, Pogoń Wężyńska - Zorza Ochla, Bóbr Bobrowice - ŁKS Łęknica, godz. 16.00: TS Przylep Zie-

lona Góra - Korona Koźuchów; niedziela - godz. 15.30: Dozamet II Nowa Sól - Tęcza Homanit Krosno Odrz.
Klasa okręgowa - grupa gorzowska
Sobota - godz. 13.00: Radowiak Drezdenko - Stilon II Gorzów, godz. 14.00: Uran Trzebiecz - Czarni Browar Witnica, Pionier Zwierzyn - Warta Słońsk, Toroma Torzym - Lubuszanin Drezdenko, godz. 15.00: Sokół Go-

ścim - GKP Bogdaniec, godz. 16.00: Celuloza Kostrzyn nad Odrą - Piast Karmin; niedziela - godz. 14.00: Spójnia Ośno Lubuskie - Orzeł Międzyrzecz, godz. 16.00: Warta II Gorzów - Spartak Deszczno.
Centralna Liga Juniorów U17: Piątek - godz. 12.00: Stilon Gorzów - Fasa Szczecin; niedziela - godz. 15.00: Lechia Zielona Góra - Śląsk Wrocław. (cekon)

Polska zmierzy się z Litwą w eliminacjach MŚ

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacja Polski w niedzielę zagra na wyjeździe z Litwą w szóstym meczu eliminacji MŚ 2026. Zdecydowanym faworytem rywalizacji są oczywiście Biało-Czerwoni.

Podopieczni Jana Urbana we wrześniu zaprezentowali się bardzo dobrze w wyjazdowej rywalizacji przeciwko Oranje oraz

w pojedynku na Stadionie Śląskim z Finlandią. Remis i zwycięstwo przywróciły nadzieje na awans do przyszłorocznego turnieju, który zostanie rozegrany w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Meksyku.

Teraz chyba nikt sobie nie wyobraża, że Biało-Czerwoni stracą punkty w rywalizacji z zespołem, który plasuje się dopiero na 145. miejscu w rankingu FIFA. Trzeba jednak przypomnieć, że w marcowej inauguracji eliminacji MŚ 2026 ze-

spółprowadzony wówczas jeszcze przez Michała Probiezja szczęśliwie wygrał na stadionie PGE Narodowy tylko 1:0 po gołu Roberta Lewandowskiego w 81. minucie.

W Kownie spotkanie z pewnością do najłatwiejszych należeć nie będzie, ale trzeba sobie jasno powiedzieć. Jeśli Polacy będą mieli problemy w meczu wyjazdowym z Litwą, raczej nie mają czego szukać na przyszłorocznym mundialu w Ameryce Południowej.

W kadrze Litwy na mecz z Polską nie ma żadnego zawodnika grającego w Polsce, ale są tacy, którzy w przeszłości grali w Ekstraklasie. Znalazł się w niej między innymi pomocnik Paulius Golubickas, który wiosną spędził na wypożyczeniu w Radomiaku Radom. Może zagrać też Fedor Černych, czyli w przeszłości gwiazdor Jagiellonii Białystok. Napastnik miał też epizod w Górniku Łęczna.

Po raz ostatni reprezentacja Polski zagrała w Kownie

w marcu 2011 roku. Wtedy Biało-Czerwoni przegrali w meczu towarzyskim 0:2. W podstawowym składzie na tamto spotkanie wyszedł grający wtedy jeszcze w Borussii Dortmund Robert Lewandowski, a w drugiej połowie na placu gry pojawił się reprezentujący wówczas barwy tureckiego Sivassporu Kamil Grosicki, zmieniając Adriana Mierzejewskiego.

Transmisję z meczu Litwa - Polska będzie można oglądać

za darmo w niedzielę od godziny 20:45 na kanałach TVP1 oraz TVP Sport. Studio przedmeczowe na tej drugiej antenie rozpocznie się już o godzinie 18:45. Spotkanie prosto z trybun stadionu w Kownie skomentują Jacek Laskowski i Grzegorz Mielcarski.

Stream w internecie z meczu eliminacji MŚ 2026 będzie można obejrzeć bez opłat na stronie sport.tvp.pl oraz w aplikacji TVP Sport.

©P

Donatas Vencevicius: - Jan Urban to super trener i świetny człowiek

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Donatas Vencevicius ma sporo związków z Polską. Grał w Polonii Warszawa i Górniku Łęczna, a także udzielał się w roli szkoleniowca. Rozmawiamy z nim przed meczem Polska - Litwa.

Jak oceniasz szanse Litwy w rewanżu eliminacji mistrzostw świata 2026 z Polską?

Litwie lepiej gra się z lepszymi zespołami, niedawno powalczyła z Holandią, w marcu postawiła się Polsce, urwała punkty Finlandii, pamiętamy wcześniejsze nieule potyczki z Węgrami i Serbami. W takich meczach bazujemy na obronie i kontratakach, ale nie ma się co oszukiwać - Polska jest zdecydowanym faworytem, a o różnicy potencjałów piłkarskich nie ma nawet co wspominać. Byłem na pierwszym meczu Polski z Litwą w tych kwalifikacjach i muszę przyznać, że nie widziałem waszego gorszego występu. Pod wodzą Jana Urbana zmienił się obraz waszej reprezentacji, nowy selekcjoner dał zespołowi energię, przebudził go. Byłem kiedyś na stażu u niego w klubie i muszę przyznać, że to super trener i człowiek z silną osobowością. Jego styl bycia jest ujmujący, piłkarze pójda za nim w ogień. Już wrześniowe mecze z Holandią i Finlandią pokazały, że Polska znów obrała dobry kurs.

Świadectwem postępów litewskiej kadry jest osoba Gvidasa Gineitisa?

To pomocnik odgrywający poważną rolę w Torino - dobrym klubie, umiemy grać w piłkę. Litwa potrzebuje takich kilku, ale cieszymy się z niego bardzo i liczymy, że inni będą czynić postępy. Nasza piłka, mimo wielu problemów, szczególnie

związanych z infrastrukturą się rozwija, na pewno jednak szkoda, że żaden z klubów nie zakwalifikował się do fazy ligowej europejskich pucharów. Liczyliśmy zwłaszcza na Žalgiris Wilno. Polska to inny świat - wspaniała frekwencja na znakomitych stadionach, kapitalna otoczka wokół piłki. Miło patrzeć jak się to u was rozwija, obecnie infrastruktury zazdrości wam wiele krajów świata.

Masz dużo związków z Polską, a czy za szczególnie uważasz, że zadebiutowałeś w reprezentacji Litwy z meczu w Ostrowcu Świętokrzyskim?

Nie zapomnę podróży autokarem przez całą noc, przybyliśmy do Ostrowca nad ranem, by zmierzyć się z silną wówczas personalnie Polską z Romanem Koseckim, Andrzejem Jusko-wiakiem, Tomaszem Wałdchem. Nie mieliśmy w tym spotkaniu nic do powiedzenia, ale cieszyłem się niesamowicie z debiutu w barwach ojczyzny, która niedługo wcześniej odzyskała niepodległość. Dla mnie występy w reprezentacji Litwy były sprawą honoru, na spotkanie z Portugalią w 2004 roku udałem się, gdy rodziła mi się córka. Selekcjoner był mi gotów dać wolne, ale żona powiedziała, że bym jechał i jej posłuchałem. Zdobyłem z karnego gola i miałem możliwość zmierzenia się z plejadą gwiazd - z Luisem Figo i Rui Costą na czele, a z ławki wszedł niezniszczalny Cristiano Ronaldo. W kadrze strzeliłem dwa gole, oba znanym golkeeperom - Jensowi Martinowi Knudsenowi z Wysp Owczych, który zasłynął bronią w wełnianej czapce i tym, że przyczynił się do sensacyjnej wygranej z Austrią w 1990 roku oraz Ricardo, wicemistrzowi Europy z 2004 roku. Mecz z Polską obejrzę na żywo w Kownie. ©P

REKLAMA

0011413365

ALUPROF **selt**
by ALUPROF

PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE | PERGOLE

AMBASADOR
Szymon Marciniak

ALUPROF
GRAMY FAIR
z NATURA

www.aluprof.com/dom

SPORT

www.sportowy24.pl

Zawody w Zaborze będą
zwieńczeniem sezonu.
Kto sięgnie po medale?Cezary Konarski
ckonarski@gazetalubuska.pl

PITBIKE. W sobotę i niedzielę crossowy tor w Zaborze koło Zielonej Góry wypełni się zawodnikami, rywalizującymi na pitbike'ach.

Odbędzie się tu szósta i zarazem ostatnia w tym sezonie runda Mistrzostw Polski i Pucharu Polski Pit Bike Off-Road.

Pitbike to odmiana motocrossu, gdzie zawodnicy dosiadają niewielkich motocykli, które wyposażone są w silniki o mniejszej pojemności niż typowe crossówki. Zielonogórski klub Pitbike 51 - gospodarz toru w Zaborze - od dawna miał ambicję zorganizowania zawodów wysokiej rangi. W tym roku udało się spełnić marzenia. - Będzie to pierwsza tak ważna impreza na tym obiekcie, finałowa runda, która rozstrzygnie o wiele tytułach - powiedział Michał Beres, trener w Pitbike 51 Zielona Góra. - Nasz tor jest bardzo ciekawy, szybki, jest na nim dużo miejsc do wyprzedzania, za-

pewnia więc dużą dawkę emocji. Do rywalizacji staną dzieciaki już od ósmego roku życia. Wielu reprezentantów naszego klubu, ścigających się w różnych kategoriach, wciąż walczy o tytuły mistrzów Polski i o Puchar Polski.

Zielonogórski klub jest najbardziej utytułowanym klubem w Polsce skupiającym zawodników startujących na pitbike'ach. - Zdobyliśmy trzy razy tytuł klubowego mistrza Polski oraz czterokrotnie klubowy Puchar Polski. W tym roku zmierzamy po kolejne tytuły - dodał Michał Beres.

Sobotni finał sezonu na torze Zaborze rozpoczyna poranne treningi, a start do pierwszego wyścigu zaplanowano na godz. 11.20. Rywalizacja potrwa do ok. godz. 17.30. Drugiego dnia rano również przewidziane są sesje treningowe, a ściganie rozpocznie się o godz. 11.00. Ogłoszenie wyników i zakończenie imprezy zaplanowano na godz. 16.30. Wstęp dla publiczności będzie bezpłatny.

©©

KOSZYKÓWKA

Po pojedynku z BOA Besiktasem Stambuł w EuroCup Women, koszykarki KSSSE Enei AJP Gorzów wracają na ligowe boiska. W drugiej kolejce Orlen Basket Ligi Kobiet zmierzą się w niedzielę na wyjeździe z 1KS Śląską Wrocław (początek meczu o godz. 18.00, telewizyjna transmisja w TVP3). W poprzednim sezonie gorzowianki pokonały wrocławianki w półfinale play offu. Jak będzie tym razem?



FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

SIATKÓWKA

W 5. serii spotkań w PLS 1. Lidze mężczyzn Karton-Pak Astra Nowa Sól będzie jutro gospodarzem meczu z BBTS Bielsko-Biała (początek o godz. 17.00). Czy „Kolberki” wygrają wreszcie przed swoją publicznością?

Koniec pucharowej przygody
gorzowskich szczypiornikówRobert Gorbart
rgorbart@gazetalubuska.pl

PIŁKA RĘCZNA. W II rundzie eliminacyjnej Orlen Pucharu Polski Stal Gorzów przegrała w środę z Anilaną w Łodzi. Tegoroczna pucharowa przygoda już się więc dla żółto-niebieskich skończyła.

Anilana Łódź	33 (16)
Stal Gorzów	27 (15)

Grot Blachy Pruszyński Anilana: Błaziejewski, Nykiyutuk - Pinda 8, Kamiński i Trzeciak po 5, Jakubiec 4, Katusza 3, Kowalski, Krajewski i Kucharski po 1, Latosiński, Pawlak, Szczepanik, Winiarski.

Stal: Gawlik, Marciniak - Drzazgowski i Koss po 6, Kan 5, Renicki i Ripa po 4, Bartnicki i Sarnowski po 1, Dziecielski, Marciniak, Rogoda, Rybaczuk, Zajac.

Kary: 2 min - 6 min.

Sędziowali: Mateusz Krzemień i Sebastian Patek (obydwaj z Warszawy).

Widzów: 100.

Zespoły z Ligi Centralnej - a takimi są Anilana i Stal - nie składają się z zawodników, żyjących tylko z piłki ręcznej. Wyznaczenie przez ZPRP pucharo-



FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

Ławka rezerwowych Stali była w Łodzi stanowczo za krótka. Gorzowianie musieli uznać wyższość Anilany i odpadli z PP

wego terminu w środku tygodnia spowodowało więc, że kilku gorzowian nie mogło pojechać do Łodzi z powodu zawodowych obowiązków. Trener żółto-niebieskich Michał Nieradko miał do dyspozycji tylko 14 zawodników, bez ruty-niarzy Mateusza Stupińskiego,

Dawida Pietrzkiewicza, Kamila Napierkowskiego oraz bramkarza Krzysztofa Nowickiego. Mówiąc wprost, musieli pilnować w Gorzowie roboty.

Mimo tak dużego osłabienia, przyjezdni dzielnie stawiali gospodarzom czoła. W 15 min Stal prowadziła 9:6, a jeszcze

dwie minuty przed syreną na przerwę 15:14. Mogła znacznie wyżej, lecz jej zawodnicy w kilku sytuacjach nie ustrzegli się prostych błędów technicznych, zawodzili też strzelecko.

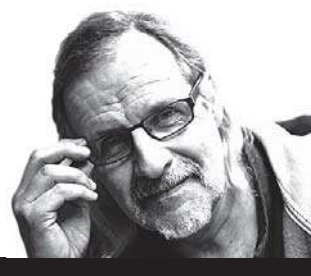
- Powinniśmy byli wygrać do przerwy pięcioma golami - podsumował ten fragment pojedynku trener Nieradko. - Nie stało się tak... na nasze życzenie.

Od remisu 18:18 w 34 min zaczęła się zaznaczać przewaga dysponujących pełnym składem i zdecydowanie dłuższą ławką rezerwowych łodzian. Miejscowi dość pewnie triumfowali różnicą sześciu goli i w nagrodę podejmą w kolejnej pucharowej rundzie zespół z Orlen Superligi.

Stal i Anilana już jutro zmierzą się w Gorzowie w 5. rundzie spotkań o mistrzostwo Ligi Centralnej. Mecz w hali SP nr 20 przy ul. Szarych Szeregów rozpocznie się o godz. 17.00. Gorzowianie będą więc mieli szybką okazję do zrewanżowania się łodzianom za pucharową porażkę.

©©

MOIM ZDANIEM

Andrzej
Flügel

Nie udało się koszykarskiej inauguracji lubuskiego zespołu. Najpierw Zastal Zielona Góra przegrał z Górnikiem Wałbrzych, a potem gorzowskie akademicki z beniaminkiem z Bochni. Zastal nie był faworytem, ale gdzieś tliła się nadzieja, że może damy radę, bo czemu nie? Wyszło, że jednak nie. Było zbyt wiele

chaosu, wszyscy czekali, co zrobi Andy Mazurczak. Zrobił swoje, ale sam meczu nie był w stanie wygrać. Co zapamiętamy? Z pewnością 4 600 widzów, do czego przyczyniła się spora grupa fanów z Wałbrzycha. Można tylko mieć nadzieję, że w kolejnym spotkaniu w Gliwicach z Tauro-nem GTK będzie lepiej. Z kolejnym mecz w Bochni pokazał, że fa-

TRUDNE PYTANIA

woryci nie zawsze wygrywają, bo kiedy beniaminek gra z wicemistrzem Polski, zdobywcą Pucharu kraju i Superpucharu wydaje się, że zwycięzca może być tylko jeden. A jednak!

Nie ukrywam, że zszokowała mnie decyzja nie przyznania akredytacji redaktorowi Robertowi Gorbartowi na turniej siatkarzy, którego współorganizatorem był gorzowski Cuprum Stilon. Myślałem, jak się okazuje błędnie, że takie akcje są na tym poziomie nie do przyjęcia. A jednak! Władze klubu postanowiły sięgnąć po ciężką broń tylko dlatego, że dziennikarz zadawał niewygodne py-

tania. Tak dzieje się nie tylko w Gorzowie. Dzielnicy uważają, że dziennikarz powinien tylko chwalić, wspierać, pomagać. Wtedy chętnie odpowiadają na pytania, są spolegliwi, uprzejmi, otwarci. Kiedy tylko pojawi jakieś trudniejsze, a nie daj Bóg redaktor odkryje, że oficjalna wersja mija się z rzeczywistością, usztywniają się, nie dopowiadają na pytania, unikają kontaktu. Cuprum Stilon poszedł jednak dalej. Najpierw zagroził sądem, a potem odmówił akredytacji. Ma to dać także efekt mrozący dla innych. Mam jednak nadzieję, że w klubie są jacyś ludzie, którzy wyleją kubeł zimnej wody

na rozpalone głowy tych, którzy postanowili zagrać z mediami z takiej flanki. Do startu Plus Ligi jeszcze jest trochę czasu na refleksję, by nie zrobić kolejnych głupot.

Inna sprawa to taka, że jak mówią, dziennikarz musi mieć twardą d...ę. Mój redakcyjny kolega pewnie oprócz tej ostatniej nieprzyjemności przeżył kilka trudnych chwil. Ja nie miałem takiej z odmową akredytacji, ale przez trzydzieści kilka lat uzbierało się kilka mocnych zdarzeń. Kiedyś podczas meczu w ekstraklasie koszykówki usiłował pobić mnie obcokrajowiec, grający w Zastalu. Próbował

rzucić się na mnie, ale przytrzymali go koledzy, usiadł na ławce i rzucił w moim kierunku plastikową butelką z napojem. W końcowej fazie szafu usiłował mnie oplotć. Pytany później stwierdził, że przyczyną wybuchu było to, że ja... źle piszę o Zastalu. Z kolei kiedyś podczas konferencji prasowej po piłkarskim drugoligowym meczu Lechii trener, wkurzony trudnym pytaniem po porażce u siebie 1:5 nie wyrobił i wystartował do mnie z pięściami. Na szczęście zaraz ochłonął. Nie miałem potem problemów z nim, bo na drugi dzień wywalono go z klubu...©©

GAZETA LUBUSKA

www.gazetalubuska.pl

Redaktor naczelna **Maja Majewska**,
Z-ca redaktora naczelnej **Mateusz Różański**,
Prezes Makroregionu **Robert Glinowski**,
Dyrektor marketingu oddziału **Aleksandra Sobolewska**

Redakcja al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra
skr. pocztowa 120, tel. 6832 48 600, 6832 48 805
fax 6832 48 872, redakcja@gazetalubuska.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Karol Wiazło**

Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskappress.pl, tel. 12 688 85 10

